Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 38

Nowy pogląd na Marję Stuart

OSKARŻYCIELE I OBROŃCY

Eryk Linklater, autor wydanej przed kilku miesiącami książki o Marji Stuart (Mary Queen of Scots), dedykuje ją malarzowi Stanley'owi Cursiterowi, rodakowi z wysp Orkney. To miejsce urodzenia Linklatera łączy się z historją Marji właśnie w tym punkcie, który wrogom królowej dostarczył najniebezpieczniejszej broni i fatalnie zaciężył nad pamięcią nieszczęśliwej. Oto morderca drugiego jej męża Darnley'a zawładnął jej osobą i zmusił ją do małżeństwa. W kilka dni później Marja uroczyście przebaczyła mu porwanie i mianowała go księciem Orkney.

Nie ulega dziś wątpliwości, że Marja została przez szkockich protestantów i przez Anglików oczerniona. W walkach politycznych i religijnych nie przebierano w owym czasie w środkach. Szereg potwarzy brzmi tak nieprawdopodobnie, że szkoda wogóle się niemi zajmować. Dla posępnego reformatora Knoxa ulubione rozrywki Marji, taniec, muzyka i poezja były same przez się czemś zbrodniczem. Nie robiło mu więc żadnej różnicy dodać jeszcze parę występków, które i dla nas są występkami. Kupiony przez ambitnego, a zdradzieckiego brata Marji, wielki humanista Buchanan, służył mu piórem, jak umiał najlepiej i zmyślał o niej historyjki zupełnie w stylu „Dekameronu"...

Lecz pozatem istnieje jeszcze materjał poważniejszy — istnieją słynne Casket Letters (listy ze szkatułki), które posłużyły przeciw Marji po jej schronieniu się na ziemię angielską. Istnieją albo nie istnieją — bo zaginęły przed trzystu laty zgórą, a zachowały się tylko w odpisach, więc niema sposobu zastosowania do nich naukowego rygoru. Ktokolwiek był ich autorem — Linklater podejrzewa Maitlanda z Lethington, nawiasem mówiąc, zdraicę, który za pieniądze służył Elżbiecie — miał duży talent i świetnie umiał wywołać wrażenie prawdy psychologicznej. Lecz porównanie pewnych ustępów i szczegółów z innemi źródłami współczesnemi przemawia zupełnie stanowczo przeciw autentyczności listów. Udowodnił to niemiecki uczony Onken, a jego wywody wzmocniło swemi argumentami kilku Szkotów, między nimi Andrew Lang, i Anglików.

Czy jednak zbyt wielką wagę należy przywiązywać do zagadnienia ewentualnej wiedzy Marji o przygotowywanem morderstwie Darnley'a? Czy nie potępia jej sam fakt, że poślubiła mordercę?

Linklater twierdzi, że nie. Przeczy, jakoby Marja umyślnie dostała się w ręce Bothwella, i twierdzi, że chciała się z nich wydostać, a objawy czułości dla trzeciego męża w chwili, gdy opuszczony przez wojsko pod Carbery, rozstawał się z nią i udawał na tułaczkę po świecie, tłumaczy stanem odmiennym.

POSTAĆ Z LITERATURY

Nasuwa się jednak jeszcze jedno pytanie. Marja Stuart jest dla nas dziś już nietyle postacią historyczną, ile bohaterką niezliczonych utworów literatury pięknej.. Gdyby nawet badania naukowe przyniosły zupełną rehabilitację Marji, przyjąłby to do wiadomości jedynie szczupły zastęp dziejopisów i ludzi, interesujących się ich studjami. A reszta świata czerpałaby swoje poglądy z Schillera, Scotta, Słowackiego, Swinburne'a, Drinkwatera, Hewletta...

W tym wypadku sąd zależałby od wyboru, bo każdy z poetów, dramaturgów czy powieściopisarzy, dał nam inny obraz królowej szkockiej i inne rozwiązanie psychologicznej zagadki, jaką stanowią jej charakter i dzieje.

Trzeba jednak zaznaczyć, że olbrzymia większość utworów o Marji, w tem zaś właśnie najsławniejsze i najbardziej znane, powstała w okresie, kiedy protestancki punkt widzenia panował niepodzielnie w historjografji, kiedy jeszcze nie kwestjonowano autentyczności Casket Letters.

Mimo to literaci rzadko zdobywali się na wyrok potępienia. Pełna majestatu, zdobna urodą i wdziękami, a tak nieszczęśliwa królowa wywierała na nich wpływ magiczny. Wierzyli surowym dla niej historykom. Byli nieraz, jak Scott i Schiller, sami protestantami. A przecie czuli żywą sympatję do Marji. Scott odmówił napisania o niej książki historycznej, co proponował pewien wydawca, a umotywował odmowę rozdźwiękiem, istniejącym u siebie między sercem a głową. W powieści zaś „Opat" przedstawił Marję więzioną w Lochleven jako niewiastę pełną iście królewskiej godności. Cofnął się więc przed odtwarzaniem niebezpiecznych momentów. Podobnie postąpił Schiller, pisząc tragedję o śmierci Marji. Obaj woleli skupić światło na cierpieniach i pokucie, a zostawić w półcieniu winę, w którą wierzyli ((Marja u Schillera spowiada się z udziału w śmierci Darnley'a).

Surowszym był młody Słowacki, malując królowę słabą, chwiejną, ale w gruncie rzeczy przewrotną i obłudną. Swinburne uczynił z niej sadystkę, zabijającą mężczyzn, których kochała. Tym sposobem uzyskał pożądaną dla siebie koncepcję tragiczną. Marja posyła na szafot Chastelard'a, francuskiego poetę, który dwukrotnie ukrył się w jej sypialni (historyczna Marja rzeczywiście zrobiła to — za drugim razem) Później przyczynia się do zamordowania Darnley'a, z którym zaznała rozkoszy miłosnej. Za krew obu zapłaci własną.

Bardzo sympatycznie wychodzi królowa u Drinkwatera. Jest tu ona jedynie kobietą, spragnioną miłości, ona jedyczoną złymi i nikczemnymi ludźmi. Pada ofiarą najgorszego i najnikczemniejszego, Bothwella, przegrywając i szczęście, i tron, i dobrą sławę.

W jednem zgadzają się wszyscy — w obrazie przewrotnego świata, pełnego zbrodniczej ambicji, zdrady, dzikości i fanatyzmu. Od takiego tła odbija korzystnie postać Marji, nawet niedoskonałej.

LINKLATER APOLEGETA

Linklater pisze również z aspiracjami literackiemi, starając się o siłę wyrażenia, chętnie używając wyrażeń obrazowych i umiejętnie grupując efekty. Ale jest równocześnie historykiem. Pilnie przestudjował źródła, zwłaszcza stare źródła, pochodzące od współczesnych. Rzecz dziwna, że nie sięgnął do Onkena. Nie wymienia go w swej bibljografji. Coprawda znał jego argumentację z późniejszych dzieł brytyjskich.

Książka jest bowiem rehabilitacją i apologją. Możnaby przysiąc, że Linklater przystąpił do przedmiotu z naprzód powziętym sądem, jaki dyktował mu szkocki sentyment. Umie wszystko usprawiedliwić i wszystko wyjaśnić. Jego Marja jest zawsze ofiarą, nigdy winowajczynią.

I trzeba przyznać, że w ogromnej większości wypadków argumentacja Linklatera przekonywa. Walczy on skutecznie z potwarczemi wymysłami wrogów Marji i surowością wierzących im dziejopisów. Niezmiernie efektownie charakteryzuje również owych wrogów.

REFORMATOR SZKOCJI

Najświetniej wypada sylwetka Knoxa, któremu przypadło honorowe miejsce na samym początku książki. Pozwolę sobie ten ustęp przetłumaczyć:

Pierwsza Mrs. Knox zmarła w grudniu r. 1560, ale boleść reformatora złagodził wnet boski zbieg okoliczności, który tak często każe dobrym wieściom sąsiadować ze złemi. Doniesiono mu z Francji, że umarł również młody król i czuł się szczęśliwym na myśl, że jego katolicki cień nie zagraża już tronowi szkockiemu.[1]) „Patrzcie", pisał, „potężna ręka Boża zesłała nam z wysoka cudowne i nad wyraz radosne wybawienie. Albowiem nieszczęsny Franciszek, małżonek naszej królowej umiera nagle z choroby ucha — tego głuchego ucha, które nigdy nie chciało słuchać prawdy Bożej."

Obraz Knoxa, radującego się nad łożem bolesnej śmierci, może być niesmaczny lub nawet oburzający dla ludzi, mających rozrywki bardziej urozmaicone, niż mogły być jego rozrywki. Trzeba jednak na jego korzyść przypomnieć, że jego religja skazała na banicję tyle rodzajów przyjemności iż pozostałe sposobności jej doznania zyskały wyborną wartość czegoś rzadkiego. Dla kalwinisty taniec był grzechem, muzyka ohydą, w Genewie stanowiło zbrodnię zawieszać w szafie strojne szaty lub podawać na stół za wiele potraw; rozpustnicy zaś musieli często czuć zimny dreszcz w łożach, gdy przypomniało im się, że w razie wykrycia niedozwolonych miłostek jedną z kar jest utopienie.

Skon lub klęska jednego z nieprzyjaciół czyichś lub Kościoła kalwińskiego były tedy między niewielu dozwolonemi sposobnościami uciechy, jeszcze pozostającemi narodowi wybranemu Genewy i Kongregacji Chrystusowej Szkocji, a wieść, że młody król katolickiej Francji, katolicki mąż królowej szkockiej został ukarany za nieprawości własne i swego kraju zakażeniem i zapaleniem ucha, tak bolesnem i gwałtownem, iż spowodowało śmierć, niewątpliwie wniosła coś w rodzaju kwietniowego święta w zimą tchnące życie Johna Knoxa.

Trudno o bardziej wyrazistą charakterystykę i Knoxa i szkockiego kalwinizmu.

[1]) Franciszek II., zmarły w wieku lat 17, był pierwszym mężem Marji Stuart.

NOWE UJĘCIE CHARAKTERU MARJI

Przyzwyczailiśmy się wyobrażać sobie Marję Stuart jako cudną kobietę, prężącą ręce ku życiu i jego rozkoszom. niektórzy widzą w niej nawet jedną z owych **grandes amoureuses**, istot stworzonych do miłości, promieniujących miłością i stawiających ją ponad wszystkiem.

Linklater odbiega daleko od tego konwencjonalnego obrazu. Sądzi on, że dla Marji wszystkiem były cele polityczne (ściśle związane w owym okresie historji z religijnemi). Z tego punktu widzenia miała ona rozstrzygać wszystkie sprawy. Jej miłość miała charakter raczej platoniczny, niż zmysłowy. Temperamentu brakło królowej. I Linklater stara się pogląd swój udowodnić. Marję zdradzał Darnley w kilka miesięcy, Bothwell w kilka dni po ślubie. Wyrok na Chastelard'a i podobnie na młodego lorda Huntly, który wraz z ojcem podniósł zbrojny rokosz przeciw królowej — był aktem ściśle politycznym. W morderstwie Darnley'a Marja nie miała udziału, ani nie wiedziała o niem, choć rada byłaby pozbyć się w drodze rozwodu męża, do którego nabrała wstrętu. Dotąd możemy zgodzić się z autorem. Dalsze jego wywody bardzo subtelne zresztą i zręczne, nie przekonywują. W stosunku Marji do Bothwella było coś więcej, niż przymus.

„KSIĘGA KRÓLOWEJ" HEWLETTA

Tu trzeba nad zawodową biegłością historyków przyznać wyższość intuicji powieściopisarza. Scott, Schiller, Słowacki, Swinburne stworzyli dzieła pod względem artystycznym doskonalsze i sławniejsze. Lecz nigdzie nie spotkamy tak świetnie narysowanego charakteru Marji, tak świetnie wyjaśnionych psychologicznie wszystkich wypadków okresu jej życia od przybycia do Szkocji do wywiezienia do Lochleven, jak w niedocenionej „Księdze królowej" Maurycego Hewletta.

Bo teorja Linklatera to wielkie uproszczenie. Marja była istotą bardziej skomplikowaną. Miała i rozum polityczny, i chęć jak najlepszego spełnienia obowiązków królewskich, i dumę monarszą, i zapał religijny — i pragnienie osobistego szczęścia. Długo wychodziła zwycięsko z wszelkich trudności i z wszelkich zasadzek, jakie jej gotowali agenci Elżbiety, fanatyczni kalwiniści, chciwi i ambitni wielmoże, przedewszystkiem zaś najprzewrotniejszy i najchytrzejszy z nich, brat przyrodni, Murray. Umiała też panować nad swojemi uczuciami i nakazywać szacunek tym, którzy ją kochali lub jej pożądali — niedarmo zaś u Hewletta Knox nazywa ją po pierwszej rozmowie „garnkiem miodu". Aż przyszło na Marję samą miłosne szaleństwo. Potężne uczucie do Bothwella odebrało jej zdrowy rozum i poczucie godności. Tem tragiczniejszą to było rzeczą, że królowa pokochała nie kogoś z tych, którzy ją kochali, lecz cynicznego łotra, który pragnął użyć jej za narzędzie do własnego wyniesienia.

Dotyczące ustępy powieści Hewletta mają w sobie coś z greckiej tragedji przeznaczenia. Marja wie, że pędzi ku przepaści, wie, że wybraniec nie jest jej godzien, ale uczucie silniejsze jest od wszelkich ostrzeżeń rozumu — i spełnia się los fatalny.

Nie sądzę, aby istniało lepsze wytłumaczenie psychologiczne dziejów Marji Stuart.

Władysław Tarnawski

Oppidum Schonbergh

czyli historja nieistniejącego miasta

„MIASTKO" SZYMBARK

Na wschodnim stoku prześlicznej doliny Ropy, zamkniętej lesistemi garbami wzgórz karpackich, leży niewielka wioska Szymbark. Nie jest to jednak zwyczajna wioska, jakich tysiące rozsypanych jest w granicach Rzeczypospolitej. Według miejscowej tradycji miał być Szymbark dawniej miastem, niewielkiem wprawdzie, ale zawsze wybijającem się ponad otaczające go osiedla.

Jako pamiątka dawnej świetniejszej przeszłości pozostała do dziś nazwa „Miastko", którą określają kilka bardziej skupionych domostw na zachód od szymbarskiego kościółka.

Szymbark ma być osadą bardzo starą, istniejącą już w XII wieku, nazywał się podobno wtedy Krasna Góra i pod tą nazwą należałoby szukać go w najstarszych dokumentach diecezji krakowskiej, do której podówczas należał.

DZIEDZICE SZYMBARKU

Początkowo stanowił Szymbark własność królewską, jak zresztą wszystkie obszary leżące wśród nieprzebytych puszcz karpackich. Dopiero w połowie wieku XIV przeszedł w ręce rodziny Gładyszów herbu Gryf i na przeciąg trzech wieków stał się ich rodową siedzibą.

Pierwszym z tej rodziny, o którym spotykamy wzmianki w starych aktach i herbarzach, jest występujący około r. 1330 Jakób syn Gładyszów podrzęczy [1] sandecki, który jednak mało pozo-



Kapliczka na Blichu w Szymbarku

stawił po sobie śladów. Założycielem szymbarskiego gniazda Gładyszów, był syn wspomnianego Jakóba, Jan Gładysz, piszący się z Brzezia (de Brzescze) [2], który w r. 1368 dzierżył po ojcu urząd podrzęczego sandeckiego.

Sprytny i energiczny odstąpił w r. 1368 królowi swą wieś rodową (Brzezie) w zamian za dziedziczne bachmistrzostwo żup bocheńskich [3], gdzie szybko dorobił się majątku i w sposób bliżej nieznany wszedł w posiadanie olbrzymich (choć pustych) obszarów po obu stronach górnej Ropy i Zdyni, gdzie z czasem powstał bogaty i ludny klucz szymbarski.

Pewne światło na sposób nabycia dóbr szymbarskich rzuca proces, o którym będę pisał poniżej. Wynikałoby z niego, że Szymbark był najprawdopodobniej zastawem królewskim, który sobie Gładyszowie z czasem przywłaszczyli.

Po śmierci Jana Gładysza klucz zostaje podzielony między dwu spadkobierców, jeden z nich Piotr pisze się nadal „de Schimbark", on to prawdopodobnie odbierał w r. 1412 od Węgrów Spiż imieniem Jagiełły [4]), a w r. 1414 bakałarzył na uniwersytecie krakowskim [5]), drugi zaś Mikołaj, któremu w podziale przypadła południowa część włości, pisał się „de Łosie".

Mikołaj był w r. 1419 bohaterem osobliwego procesu: własna córka Katarzyna oskarżyła go przed królewskim



Izba czeladn... w Szymbarskim pałacu

trybunałem, że nie jest szlachcicem, lecz bezprawnie za takiego się podaje [6]). — Przed sądem przedstawił Mikołaj wymagane dowody i opisał swój herb zwany „Tobandze", w którym jest pół gryfa czarnego z ogonem ryby, jesiotra.

Trybunał, w skład którego wchodził Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski, Dobek Wojnicki, Piotr Szafraniec, podskarbi krakowski i Stanisław Gamrat, orzekł, że Katarzyna niesłusznie przyganiła ojcu swemu brak szlachectwa, gdyż „tenże Mikołaj Gładysz jest równie dobry, jak którykolwiek z dobrych rycerzy w obecnym czasie".

Widzieliśmy poprzednio, że już w drugiem pokoleniu klucz rozpada się na dwie części, które z czasem w drodze podziałów rozdrabniać się będą dalej.

W r. 1473 należy Szymbark do Paszki Gładysza zapewne syna owego bakałarza, w tymże roku sprzedaje on Wielopolskim za 1000 grzywien bachmistrzostwo bocheńskie, na którem dziad jego dorobił się fortuny [7]).

W r. 1581 według wykazów poborowych podatku łanowego, włości klucza szymbarskiego są już bardzo okrojone. Szymbark należy do Szymona Gładysza pisarza grodzkiego spiskiego, który był równocześnie właścicielem Polnej i Szymonowic w Sandecczyźnie, w tym samym czasie Konieczna i Ług należą do Piotra Gładysza, Smerekowiec do Sebastjana, w ręku Gładyszów jest również wieś Ujcie (dziś Ujście Ruskie), część klucza przeszła już w ręce obce, wsie Ropa, Hańczowa, Wysowa, Ropki, Blechnarka należą do Adama Brzezińskiego, Łosie, Bielanka, Klimkówka do Branickich [8]).

Ostatnimi Gładyszami w Szymbarku a zapewne i w całym kluczu, byli Paweł (syn Szymona), do którego Szymbark należał w r. 1590 [9]) i Piotr, którego testament znajdujemy w księdze gromadzkiej wsi Siary (pow. gorlicki). Sporządzony on jest w r. 1611, Piotr zapisuje w nim Wojciechowi Kwiatowskiemu karczmę w Siarach ze sadami i łąkami aż po rzekę Gorlice [10]).

Od tego czasu nie spotykamy już więcej nazwiska Gładyszów piszących się de Szimbark przenieśli się z ziemi bieckiej w Sandomierskie, a na ich miejsce przyszli w XVII wieku Strońscy, później Siedleccy, Bronikowscy, wreszcie z końcem XVIII wieku nabył Szymbark ks. J. Bochniewicz prałat gnieźnieński [11]) który w r. 1808 przekazał go testamentem jako wspólną własność swym siostrom i siostrzenicom.

Wtedy to na obszarze Szymbarku powstały cztery dworki, jeden z nich rozparcelowany przeszedł już w obce ręce, trzy pozostałe do dnia dzisiejszego należą do spadkobierców ks. Bochniewicza.

DZIEJE „MIASTA" SZYMBARKU

Gdy Jan Gładysz wszedł w posiadanie ziem leżących nad Zdynią i Ropą, były tam puszcze bezludne, przedstawiające jedynie wartość terenów myśliwskich.

Prócz Krasnej Góry, a może i wsi Ropy, nie było tam ani jednej osady ludzkiej, dopiero w kilkadziesiąt lat później pojawiły się w górach licho sklecone szałasy pasterzy wołoskich, których Gładyszowie osiedlali na stałe wśród górskich kotlinek. Gładyszom zawdzięcza swe istnienie większość osad, które na tym obszarze istnieją. Pamiątką tej akcji kolonizacyjnej jest istniejąca do dziś wieś „Gładyszów", wywodząca swą nazwę od szymbarskich dziedziców.

Dużo energji włożyli Gładysze w to, by założyć w swych dobrach miasto, które miało być niewyczerpanem źródłem dochodów i dodawać blasku magnackiej fortunie. Ażeby zachęcić cudzoziemców do osiedlania się w nowozałożonem mieście zmienili starą nazwę Krasna Góra na Schönberg (w aktach Schonenbergh, Schimbork i t. p.) podstęp widać udał się w zupełności, bo jeszcze dziś zachowały się w Szymbarku nazwiska niemieckie (Henzel, Preisner i t. p.), które są pozostałościami dawnej niemieckiej kolonizacji.

Początkowo rozwijał się Szymbark dosyć pomyślnie, powstało maleńkie



Pałac Gładyszów w Szymbarku

miasteczko (jak tego dowodzi chociażby tradycyjna nazwa Miastko), z czasem jednak podupadł, prawdopodobnie podcięty ekonomicznie przez Gorlice, które założone z końcem XIV w. zaczęły się świetnie rozwijać nie bez szkody dla okolicznych miasteczek.

Zubożali mieszczanie zapomnieli o swych dawnych przywilejach, schłopieli, a miasto zamieniło się zpowrotem w wieś. Jedynie dziedzice pielęgnują dawne wspomnienia, poprzedzając (jeszcze w XVIII w.) nazwę Szymbark przydomkiem „oppidum".

Wypadki powolnej przemiany miasta w wieś zdarzały się dawniej dosyć często.

Dziwnem jest, że Szymbark niczem nie zaznaczył swego miejskiego charakteru, niema ani jednego dokumentu, któryby mówił o targach lub jarmarkach w tem „mieście", o prawie składu, cechach, samorządzie miejskim.

Najdokładniejszy obraz rozwoju Szymbarku daje nam wspomniany już wykaz podatkowy z r. 1581, z którego wynika, że było tam wówczas łanów kmiecych 3 i pół, zagrodników bez roli 2, komorników z bydłem 1, komorników bez bydła 1, rzemieślników 2.

Szczególnie ta ostatnia pozycja maluje skrajny upadek niedawnego miasta.

W XVI wieku w okresie t. zw. rewindykacji był klucz szymbarski przedmiotem ciekawego procesu, który rzuca światło na niezbyt uczciwy sposób nabycia fortuny przez Gładyszów.

Jak wiemy, kilka wsi z klucza szymbarskiego należało wówczas do Branickich (Bielanka, Łosie, Klimkówka, Umiewisz) [12]). Tym właśnie Branickim wytoczył w r. 1528 proces Marcin Myszkowski, kasztelan wieluński, zarzucając, że wyżej wymienione wioski Branickich, jak i Ropa, Ujście, Hańczowa, Wiszowa, Blechnarka, Kwiatoń, Smerekowiec, Zdynia i Zawada, będące od pradziadów w posiadaniu Gładyszów, są zastawionemi i bezprawnie przywłaszczonemi królewszczyznami.

W odpowiedzi na zarzut pozwani wykazali się dokumentem wystawionym w Sączu przez Kazimierza Wielkiego dnia 27 października 1359 roku, w którym król nadał Janowi Gładyszowi podrzęcemu sandeckiemu lasy nad Małą i Wielką Zdynią i innemi dopływami Ropy z prawem lokowania wsi i miast i nadawania im nazw. Komisja królewska stwierdziła, że wszystkie wymienione miejscowości mieszczą się na obszarze nadanym [13]).

W ten sposób Braniccy i Gładyszowie ostali się przy swych majątkach, ale komisja została wprowadzona w błąd, gdyż dokument królewski nauka dzisiejsza uznała za niewątpliwy falsyfikat. Nie mniej wątpliwej wartości jest drugi dokument, dan na zamku miasta Szymbarku w samą wilję Bożego Narodzenia roku pańskiego 1359" przez Jana Gładysza, w którym zezwala on:

„na wystawienie kościoła w Szymbarku i założenie plebanji w obrębie miedz osadników naszych", nadaje probostwu pole i ogród, oraz określa daniny, jakie będzie składał na kościół dwór i włościanie [14]).

ZABYTKI SZYMBARKU

Pamiątką z czasów ostatnich Gładyszów jest wspaniały pałac, „zamek", jak go miejscowa ludność nazywa, pochodzący z XVI w. Imponujące mury wzniesione z szarego piaskowca karpackiego, do dziś walczą zwycięsko z zębem czasu.

Wciągu wieków przechodził budynek liczne przeróbki. Początkowo był to dość skromny dwór piętrowy, w XVII

1) Herbarz Polski Boniecki t. VI s'r 91
2) W iZemie bieckiej
3) Kodeks dypl. M ..polski

4) Herbarz Niesieckiego
5) Herbarz Bo..eckiego t. VI
6) Prawa polskiego pomniki Helcel — t. II. poz 1648, 1690, 1700
7) Boniecki Herbarz t. VI str 91
8) Źródła dziejowe Pawiński Małopolska w XVI w

9) Boniecki Herbarz t. VI.
10) Ulanowski Księgi sądowe wiejskie
11) Śreniawski Filip, Bieg w swych pamiatkach

12) Dziś nie istnieje
13) Bujak Fr. Materjały do hist. miasta Biecza
14) Morawski Szcz Sadeczyzna t. I.

wieku dodano murowaną attykę, a w następnym, gdy wytrzymałość starych murów była już niepewna, przymurowano ukośne szkarpy, podtrzymujące ściany.



Stary zajazd w Szymbarku

Pałac na czterech narożnikach ma czworoboczne wystające baszty z małemi pokoikami na piętrze. Według podania jeden z dziedziców Szymbarku miał cztery córki, z których każda mieszkała w innym narożniku.

Mimo to, że zamek nie był nigdy w ścisłem tego słowa znaczeniu obronny, widać wyraźnie ślady mostku zwodzonego w kamiennej oprawie bramy wejściowej i fosy, nakrytej dziś płytami piaskowca, były to widać urządzenia „na wszelki wypadek“.

Pałac szymbarski jeszcze za czasów Ks. Bochniewicza, był w całości zamieszkały; obecnie strumienie wody, cieknące przez dziury w dachu, mrozy i wiatry zrobiły już swoje tak, że jedynie na parterze w dawnej kuchni mieści się do dziś używana izba czeladna, na piętrach zaś ostały się tylko resztki malowideł na ścianach i spękane okapy ozdobnych kominków.

Ciekawem jest, że Szymbark, który jako parafja istnieje już w XV wieku, nie posiada zabytkowego kościoła. Stary, zapewne drewniany, musiał zwalić się lub spalić z początkiem XVIII w., a na jego miejscu powstał dzisiejszy, zbudowany z drzewa w stylu niemieckiego renesansu, konsekrowany około r. 1775.

Zabytkiem późniejszym, bo z epoki trąbki pocztowej i dyliżansu, jest sędziwa karczma, stojąca przy drodze na południowych krańcach wioski.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty, gdy były „lepsze czasy“, a dwory miały prawo propinacji, każdy z czterech dworów szymbarskich miał po dwie karczmy, czyli, że było ich osiem na sześciu kilometrach gościńca.

Dziś zachowało się ich tylko dwie, przyczem jedna z nich jest cennym zabytkiem, przedstawiającym nam obraz dawnych zajazdów.

Stoi ona bokiem do gościńca, zbudowana z płaskich kamieni piaskowca, ze skośnemi przyczółkami po rogach. — W środku przedzielona szeroką wjazdową sienią, która zamienia się w długą wozownię, tak, że całość w planie przypomina literę „T“. W jednym ze skrzydeł budynku na lewo od wozowni jest część mieszkalna, tu znajduje się izba karczemna z ogromnym piecem, alkierze dla gości i stancyjka arendarza. — Przeciwległe skrzydło zajmują obszerne stajnie.

SZYMBARK W PODANIACH

Urok starych murów działa na wyobraźnię ludu i dlatego bywają do nich przywiązane rozliczne podania; ma również swoje podania i pałac szymbarski.

W jednej z komnat zamkowych ma być podobno krwawa plama na murze, której ani zmyć, ani wyskrobać nie można.

W tem miejscu „pani zabiła pana“ powracającego z wojny „za Jerozolimę“, ciało jego zakopała w ogrodzie i posiała ruta na grobie.

Lud śpiewa o tem długą piosenkę zaczynającą się od słów:

„Stała się rzecz niesłychana,
Pani zabiła pana“.

Jest to ten sam wątek ludowy, który Mickiewicz zużył w baladzie pt. „Lilje“.

Pod zamkiem, według opowieści ludowych, jest cała plątanina lochów i przejść podziemnych, które mają wieść do pobliskich lasów. Drugiem miejscem działającem podniecająco na fantazje ludu, jest kapliczka z Chrystusem „frasobliwym“, stojąca samotnie na rozległej równinie zwanej Blich. Prawdopodobnie kapliczka ta stała niegdyś przy drodze biegnącej dawniej wzdłuż rzeki, ale dziś pamięć o tem zatarła się i geneza budowy tłumaczy się w inny sposób.

Miał niegdyś stać na Blichu kościół pod wezwaniem Św. Krzyża, który z bliżej nieznanych powodów zapadł się pod ziemię. Na pamiątkę tego zbudowano na miejscu kościoła kapliczkę. Niektórzy dziś jeszcze twierdzą, że w czasie rezurekcji z pobliskiego wzgórza słychać dźwięk dzwonów z zapadłego kościoła.

ROMAN REINFUSS, Gorlice.

Ryby żyjące bez wody

Spoglądając na szczupaka, pstrąga czy jakąkolwiek inną rybę rzeczną lub morską, oceniamy całą trafność popularnego powiedzenia: „czuję się jak ryba we wodzie“. Faktycznie bowiem cała budowa anatomiczna ryby, wydłużone ciało, pletwy, ogon, świadczą o znakomitem przystosowaniu się do życia w tym jej żywiole.

Ma to jednak i swoje złe strony. Znaną powszechnie jest rzeczą, iż np. śledź zdycha prawie natychmiast po wyciągnięciu go z wody. Zdycha z uduszenia, skutkiem zaschnięcia lub zasklejenia się skrzeli, zapomocą których oddycha we wodzie.

Gdyby wszystkie gatunki ryb były równie wrażliwe na działanie powietrza jak śledź, — nie mogłyby one żyć w strumieniach, rzekach i mniejszych zbiornikach wody, podlegających okresowo wyschnięciu, — co jest zjawiskiem powszedniem w krajach tropikalnych. A przecież we wszystkich podobnych zbiornikach żyją stale pewne gatunki ryb.



Periophthalmus Koelreuteri

Czem to wytłumaczyć? Oto istnieją pewne gatunki ryb, zdolne żyć nietylko w swoim właściwym żywiole, — ale przejściowo również i na lądzie.

Klasycznym, najbardziej znanym przykładem w tym względzie są młodsze węgorze, które w czasie swej wędrówki w górę rzek niejednokrotnie wydostają się na brzeg i zdążają do odległych jezior lub stawów. Mogą sobie pozwolić na podobne eskapady dzięki temu, że skrzela ich zatrzymują przez dłuższy czas pewną ilość wody, a więc utrzymują się w stanie wilgoci, umożliwiającej im oddychanie.



Anabas scandens

Znacznie lepiej pod tym względem wyposażona jest przez naturę ryba — skoczek, zwana Periophtalmus Koelreuteri, żyjąca na zachodniem wybrzeżu Afryki.

Ryba ta, długości 5—8 ctm., potrafi dowolnie zmieniać barwę, podobnie jak kameleon, przystosowując ją do otoczenia. Wygląda dość niesamowicie: brunatna, srebrno nakrapiana, pletwy błękitne, duże wyłupiaste oczy o czerwonawem zabarwieniu. Co więcej, pletwy przednie, rozwinięte silnie, przypominają raczej nogi i mogą służyć do poruszania się na lądzie, chodzenia, skoków, a nawet wspinania się.

Pletwy te przystosowane są też do oddychania na lądzie, tak, że nierzadko ujrzeć można te osobliwe ryby, wylegające się na wilgotnym piasku lub niezgrabnie skaczące w pogoni za zdobyczą.

Znakomicie przystosowaną do takiego „podwójnego życia“ jest żyjąca w stawach i rzekach Australji ryba zwana przez krajowców „barramunda“ (Ceratodus Forsteri), dochodząca do 2 mtr. długości. W okresie perjodycznej posuchy ryba ta, zagrzebana w mule, zdoła żyć przez kilka miesięcy nawet bez wody. Funkcje oddychania spełnia u niej wówczas ów „pęcherz“, stanowiący normalnie rodzaj balonu, z pomocą którego ryba (kurcząc go lub rozszerzając) utrzymuje się we wodzie w dowolnej głębokości. Pęcherz ten zastępuje rybie w zupełności płuca.

Potężnie zaś rozwinięte pletwy przednie i tylne umożliwiają rybie pełzanie po stałym lądzie.

To samo obserwować możemy wreszcie u żyjącej w Indjach ryby „Anabas scandens“, u której oddychanie zapomocą skrzeli samych absolutnie nie wystarcza do utrzymania się przy życiu. Musi ona co pewien czas podpłynąć na powierzchnię wody, celem zaczerpnięcia powietrza, — a jeśli jej to uniemożliwimy (zakładając np. w akwarjum siatkę na kilka ctm. pod powierzchnią wody), — ryba poprostu zdycha. Jedyny to chyba wypadek, iż ryba „tonie“ we... wodzie!

Ryby te, jak udowodniły obserwacje, często wychodzą same z wody i odbywają długie, nawet parodniowe wędrówki.

Kilka tych przykładów dowodzi, jak przedziwnie postarała się natura o zaopatrzenie pewnych odmian ryb do życia na lądzie w zmienionych warunkach bytu. Nie każda zatem ryba czuje się we wodzie jak w swoim żywiole.

(R.)



Barramunda (Ceratodus Forsteri)

Wiszące ogrody Inkasów

Utarła się już w świecie legenda o owym „cudzie świata“, jakim miały być wiszące ogrody Semiramidy.

Mało komu natomiast wiadomem jest, że na zboczach południowo - amerykańskich Andów, na wysokości trzech do czterech tysięcy metrów istniały od wieków, a częściowo istnieją jeszcze dotychczas zupełnie analogiczne monumentalne urządzenia.

Najlepiej stosunkowo dochowane i najłatwiej dostępne są „wiszące ogrody“ starej twierdzy Inkasów, Ollantaitambo. Wycięte tarasowato w twardej skale, zamknięte były u dołu potężnym murem z bloków skalnych; jedna jedyna brama wiodła do zaczarowanego wnętrza.

Prawdziwym cudem ówczesnej techniki było założenie i urządzenie podobnego ogrodu. Już samo zwiezienie, obróbka i zmontowanie olbrzymich bloków skalnych użytych na ogrodzenie wymagało olbrzymiego wysiłku. Nie koniec jednak na tem: jak stwierdziły badania geologiczne, na tych wysokościach niema i nie było wogóle nigdy ziemi nadającej się pod uprawę. Musiano ją tedy przewozić względnie przenosić z odległych dolin (legenda mówi, że zwożono ją z Ekwadoru, oddalonego o 700 mil!).

A warstwa tej ziemi na poszczególnych tarasach posiada przeciętnie 1 metr grubości.

Niemniejszy podziw wywołują też urządzenia służące do sztucznego nawadniania tych wiszących ogrodów: całemi kilometrami ciągną się mniejsze i większe kanały, z których rozprowadzano wodę na poszczególne terasy.

Na długo przed odkryciem Ameryki uprawiali już Inkasi w tych ogrodach kartofle, orzechy ziemne, ananasy, pomidory oraz rozmaite gatunki zbóż.

Wykute opodal w bitej skale obszerne spichrze służyły do przechowywania zbiorów.

Dziwnem mogłoby się wydawać, że Inkasi olbrzymim wysiłkiem budowali podobne wiszące ogrody na wysokości paru tysięcy metrów, — mając do dyspozycji w równinach dość ziemi żyznej, dającej się z łatwością uprawiać.

Uczeni są zdania, iż decydowały tu przedewszystkiem względy strategiczne. Władcy Inkasów chcieli w ten sposób zapewnić sobie i ludzkości dostateczne zapasy żywności na wypadek jakichkolwiek zatargów zbrojnych ze sąsiadami. Ogrody te bowiem, do których wiodła jedna tylko brama, były wogóle trudno dostępne, a znajdowały skuteczną ochronę w znajdujących się zawsze w sąsiedztwie twierdzach.

Jak wysoko zaś stała u Inkasów kultura roli, świadczy fakt, że w ogrodach tych na wysokości 400 metrów uprawiano z powodzeniem żyto.

Dzisiaj ogrody te znajdują się w stanie zupełnego zaniedbania! — eksploatacja ich przedstawiałaby się zbyt niekorzystnie ze względu na trudne warunki dostępu. Tu i ówdzie tylko zobaczyć jeszcze można jakiegoś Indjanina, uprawiającego w pocie czoła kawałek ziemi, — tej ziemi, którą jego przodkowie przed setkami lat przenieśli z dalekich równin na niegościnne, jałowe zbocza skalne.

(kr.)

Rok księżycowy

Prasa codzienna porusza obecnie często sprawę reformy kalendarza i omawia projekt wprowadzenia roku o 13 miesiącach. Liga Narodów zamierza w 1935 roku obradować nad tą sprawą i jeśli 60 proc. państw głosować będzie za reformą kalendarza, zniknie chrześcijański rok słoneczy a zapanuje rok księżycowy.

Większość ludzi, czytających o tem wzmianki w prasie, sądzi, że taki nowy kalendarz byłby czemś nowem, dotychczas zupełnie nieznanem i niepraktykowanem. Tymczasem tak nie jest. W bardzo zamierzchłych czasach bowiem liczono czas według zmian księżyca, a również w obecnych czasach mierzą w ten sposób czas niektóre ludy i plemiona.

Rok o 13 miesiącach jest bowiem rokiem księżycowym, w czasie którego księżyc odmienia się 13 razy, rozpoczynając każdy miesiąc z dniem nowiu.

* * *

Na taki sposób mierzenia czasu wpłynął starodawny kult księżyca. Liczne starożytne ludy, zwłaszcza azjatyckie uprawiały ten kult bardzo długo. Pojawienie się nowego księżyca należało do chwil bardzo uroczystych. W żydowskich, starych pismach czytamy wiele wzmianek, o tem, jak to oznaczano i ogłaszano dzień i czas nowiu. Chwilę pojawienia się nowego księżyca oznajmiano ludowi z góry oliwnej ogniowemi sygnałami, a prowincję zawiadamiano o tem przez gońców. Spostrzeżeniami i badaniem tej chwili zajmował się synhedrjon, który stwierdzał każdorazowo przez specjalnych ludzi, w jakiej postaci i w jakich warunkach księżyc okazał się w dniu nowiu. Uroczysty ten dzień powtarzał się co 28 dni.

Z czasem te uroczystości nowiu połączono z różnemi ceremonjami. Gdy blask wschodzącego księżyca wskazywał chwilę nowiu, kapłani ogłaszali ludowi z wieży srebrnemi trąbami i na to hasło żydzi spieszyli do świątyń, gdzie składano ofiary. Dzień ten był dniem wesela i uczt. W tym dniu nie wolno było pościć, wygłaszać mów pogrzebowych, zawodzić pieśni żałobnych, wykonywać pewnych robót, obcinać paznokci i włosów, a każdy żyd musiał weselić się i ucztować.

Krytycy biblijni uznali to święto za bardzo stare i utrzymują, że powstało w czasach pasterskich. Pasterz — koczownik żył nocą i uważał światło księżyca za przyjaciela, przewodnika i opiekuna, gdyż wyzwalało go od żaru słonecznego pustyni, umożliwiało podróż i dawało wytchnienie. Księżyc też powagą swą i grozą ciemności imponował ludom starożyt. Wówczas bowiem księżyc i gwiazdy były drogowskazem dla pasterza, światło księżycowe uważano za błogosławieństwo, a zaćmienie jako niedolę i smutek, wróżące koniec świata. Zjawiska zaćmienia budziły powszechny lęk, uchodziły za dowód niełaski bożka — księżyca i przepowiadały pomór, głód i wojny. Zaćmienie księżyca przeraziło do tego stopnia wojska zbuntowane przeciwko Tyberjuszowi, że poddały się one bez walki.

Ten kult księżyca sprawił, że mierzono czas na noce według zmian księżyca, który był wówczas najłatwiejszym miernikiem czasu, gdyż zmiany łatwo dostrzegano i powtarzały się one ze ścisłą regularnością.

* * *

Według księżyca mierzyli też czas Babilończycy, Asyryjczycy. Egipcjanie, Grecy, Hindusi, ludy afrykańskie i azjatyckie, Indjanie amerykańscy, w Europie Litwini, Jadźwingowie, Skandynawczycy, Eskimosi i żydzi. W sławnej Eddzie skandynawskiej księżyc nazywa się „artali“ t. j. miernik czasu, a w języku Basków zwie się „argi - izari“ t.j. światłomierz. W mahometańskim koranie czytamy o księżycu Allacha: „On dał blask księżycowi, on jego zmiany urządził i on służy do podziału czasu i do lat rachunku“. Nawet ludy słowiańskie, zwłaszcza na wschodzie zowią księżyc, pod wpływem Azji, miesiącem.

Rok księżycowy utrzymał się najdłużej u ludów mało kulturalnych i zabobonnych. U Burjatów miesiąc odpowiada czasowi biegu księżyca, nów jest u nich dniem świątecznym i rozpoczyna nowy miesiąc. To samo widzimy u Tungusów, a u Eskimosów miesiąc zwie się „taktuk“, które to słowo oznacza księżyc. Również Mongołowie, Kałmucy, Tybetanie, Indjanie amerykańscy, Beduini, murzyni w Afryce i mieszkańcy wysp Oceanu Spokojnego liczą obecnie czas według księżyca.

* * *

W starożytnym mieście Ur czczono księżyc pod nazwą „Nannar“, co oznacza „Jedyny, który tworzy światło“. Babilończycy zwali księżyc „Sin“; które to słowo powtarza się często w imionach królów babilońskich. W Azji zachodniej istniał w starożytności lud rasy Turańskiej zwany „Akkado - Samirowie“; który uprawiał szczególny kult księżyca i gdy popadł w niewolę Chaldejczyków i Asyryjczyków wywarł wielki wpływ na kulturę zwycięzców.

W Zenda - Weście przedstawia się księżyc jako głównego bożka; jest to bożek szczodry i władca chmur, źródło dobrodziejstw, wiedzy i bogactw, dzięki któremu mnożą się trzody, a człowiek ma powodzenie. Hindusi mówią, że bożek - księżyc brał udział w stworzeniu świata i użycza ludziom długiego życia i szczęścia.

Murzyni afrykańscy witają zawsze pierwsze promienie księżyca radosnemi okrzykami i wielkim głosem modlą się do niego. Murzyni w Kongo wierzą, że księżyc umiera i zmartwychwstaje. Hotentoci, hodowcy bydła, święcą nów i pełnię księżyca tańcami.

Kult ten księżyca istniał również u starożytnych Germanów. Jeszcze w początkach średnich wieków skarży się duchowieństwo, że lud germański kłania się swemu Herr Mon, a Szwajcarowie zwą go Herr Man.

Jedynie u narodów słowiańskich nad Wisłą, Odrą i Łabą istniał od wieków kult słońca, każde domostwo ozdabiano kręgiem słonecznem i wierzono, że bogini Żiwa - słońce stwarza życie na ziemi.

* * *

Najwięcej jednak śladów kultu księżyca znajdujemy nawet obecnie w zwyczajach i wierzeniach żydów. Od wieków żydzi mierzą czas według księżyca i w księgach ich często spotyka się z utożsamianiem księżyca z miesiącem. Hebrajska nazwa księżyca „jerach“ oznacza także miesiąc w znaczeniu podziału roku. Słowo „jerach“ znaczy „wędrujący“ i jest jedną z najstarszych nazw księżyca. Iensen w swej „Kosmologie der Babilonier“ twierdzi, że słowo to pochodzi od babilońsko - asyryjskiego wyrazu „arah“, który oznaczał miesiąc; jako miernik czasu, co dowodzi, że żydzi posiadali swój żargon w Babilonji. Karaici także w dzisiejszych czasach dzielą rok według biegu księżyca.

Żydzi mierzyli zawsze czas według biegu księżyca i mają też własne zdanie o tej planecie. Talmud opowiada, że księżyc posiada własne światło a mniejszy jest od słońca, gdyż spotkała go kara za grzechy. Potem przytacza taką legendę:

Gdy Bóg stworzył dwa wielkie światła: słońce i księżyc, zazdrosny księżyc zapytał: „Panie świata, czy mogą dwaj królowie posługiwać się jedną koroną“. Rozgniewany Bóg rzekł: „Stań się mniejszym!“. Legendę tę tłumaczą w ten sposób. Jak długo żydzi prowadzili koczownicze życie, księżyc był dla nich bóstwem dominującem. Z chwilą jednak, gdy stali się ludem osiadłym, rola księżyca zmniejszyła się, a słońce wybiło się na pierwszy plan.

Jednak lud żydowski wierzy dzisiaj nawet, iż przyjdzie czas, kiedy księżyc, czczony przez ich ojców, odzyska swe wielkie światło i panowanie i modli się: „przyjdzie czas kiedy Wiekuisty opatrzy uszkodzenia ludu“. Dlategoto żydzi wierzą w samodzielne światło księżyca i twierdzą, że promienie jego wpływają na życie żydów, a najdobroczynniej działają w Jerozolimie, nad którą księżyc obrał swe siedlisko. Zabobonny ten lud uczy, że księżyc obraża się, gdy się nań wskazuje palcem „bo ci go obetną, albo sam odpadnie“.

* * *

Kult księżyca stał się podstawą żydowskiej mitologji. Astarte, bogini nieba, była przedewszystkiem boginią księżyca, której kult przeszedł do Aten, gdzie na cześć Artemidy wypiekano placki w kształcie księżyca. Ten kult dał początek amuletom w kształcie półksiężyca, które noszą niewiasty żydowskie i zwią je „saharonim“. Stara też nazwa Boga u żydów „Jahwe“ oznacza księżyc, a góra Sinai, nazwana z babilońska, oznacza górę Księżycową.

Żydzi dzisiejsi święcą nawet obecnie pierwszy dzień nowiu i odmawiają w tym dniu różne modlitwy w formie błogosławieństwa. W tym dniu proszą Boga przedewszystkiem, by wrócił dawną wielkość światłu księżycowemu. Ta modlitwa przedstawia księżyc, jako symbol nadziei Izraela, która spoczywa w ciągłem odnawianiu się księżyca. Kalendarz żydowski podaje też zawsze dzień, godzinę i minutę pojawienia się odmłodzonego księżyca nad Jerozolimą, a w sobotę kantor podaje dzień, na który przypada początek nowiu.

Żydzi wierzą, że kto przywitał godnie nowy miesiąc, będzie miał szczęście, i będzie mu darowany jeszcze jeden miesiąc życia nawet gdyby miał wcześniej umrzeć. Czas ten bowiem przynosi szczęście. Jeśli księżyc zaczyna świecić w pierwszym dniu miesiąca, to światło jego dosięga szczytu 15-tego dnia, tak jak 15 pokoleń Izraela, od Abrahama począwszy, dostąpiło szczytu chwały za króla Salomona. W drugiej zaś połowie miesiąca księżyc gaśnie i tak samo Izrael pochylił się ku upadkowi. Nowy nów zaś przynosi nowe nadzieje.

Dzisiaj tak jak dawniej żyje wiara, że powrót młodej tarczy księżyca sprzyja wielkim przedsięwzięciom ludzkim i jest czasem pomyślności i szczęścia. Taki nowy księżyc gładzi nawet grzechy ludzkie, czyni każdy czyn skutecznym, a każdą walkę zwycięską. Kto wie, czy nie tkwi w tej wierze, siła i wytrwałość Izraela.

* * *

Jeśliby naprawdę usunięto chrześcijański rok słoneczny i wprowadzono rok księżycowy, mierząc czas na noce, a dzieląc rok na 13 miesięcy, — kultura nowoczesna musiałaby ulec wpływom takim samym, jakie stwierdzamy w Azji. To pewne, że taki zreformowany kalendarz przyniósłby pewnej stronie korzyść a pewnej szkodę tak moralną jak materjalną. Należałoby poważnie zastanowić się nad tem, czy dobrzeby było, gdyby noc zapanowała nad dniem a księżyc nad słońcem.

Inicjatorzy powyższej reformy uzasadniają swój projekt względami gospodarczemi, pragną stabilizacji świąt, dążą do równomiernego podziału roku, a przecież poprawy bytu nie przyniesie żaden nowy teoretyczny podział czasu, który niczego korzystnego nie stworzy, tak jak wesela nie przyniosły Europie ani murzyńskie kompozycje muzyczne, ani tanga brazylijskie, ani gitary hawajskie.

Dr. Julian Skulski

Krótkie wiadomości lekarskie

Transfuzja krwi ze zwłok

Lekarze sowieccy zajmują się w ostatnich czasach bardzo żywo kwestją transfuzji (przetaczania) krwi, — wychodząc z założenia, że zagadnienie to będzie miało pierwszorzędną wagę w przyszłych wojnach.

Jest zresztą cały szereg wypadków. (silne krwotoki żołądkowe, przecięcie tętnicy itp.), w których zaaplikowane w porę przetaczanie krwi decyduje wręcz o życiu pacjenta.

Dla ułatwienia proponują lekarze wprowadzenie pewnego rodzaju „paszportów“, w których zaznaczonem byłoby, do której grupy krew danego osobnika należy. Paszporty takie powinni posiadać przedewszystkiem ludzie, należący do armji stałej i do rezerwy.

Trzeba się jednak liczyć z tem, że w razie wybuchu wojny nie łatwo będzie uzyskać potrzebne ilości krwi od jej dawców. Przy dużem, masowem poprostu zapotrzebowaniu prędko jej może zabraknąć.

Dlatego medycyna w Sowietach zainteresowała się poważnie kwestją przetaczania ludziom żywym krwi pobranej ze zwłok ludzkich. W tym kierunku robi się ustawicznie doświadczenia, które dały wyniki pozytywne. Krew ze zwłok udało się przechowywać w niezmienionym stanie przez tydzień. Zanotowano nawet wypadek, iż krew pobrano dopiero w 14 godzin po śmierci, i użyto jej z powodzeniem do transfuzji.

Samoloty w służbie leczniczej

W Sowietach podjęta została na wielką skalę akcja w kierunku zwalczania zimnicy, której zasadniczem założeniem jest energiczne tępienie komarów, jako roznosicieli zarazków tej choroby.

W tym celu eskadry samolotów rozpylają „zieleń paryską“ w okolicach bagnistych, niszcząc za pomocą tego środka zarodki komarów.

W roku bieżącym akcję tę przeprowadzono na obszarze ogólnym 20 tysięcy ha. z wynikiem doskonałym i ilość zachorowań na zimnicę w okolicach tych zmniejsza się bardzo znacznie.

(r.)

Kapłani w twórczości Mickiewicza

Krytyka ustaliła oddawna, że właściwym bohaterem mickiewiczowskiego arcydzieła, powstałego przed stu laty, jest nie postać tytułowa, lecz Jacek Soplica. Najgłębsza, najistotniejsza treść duszy poety doczekała się skrystalizowania w tej postaci zakonnika, który ideę pokuty za grzechy pojął jak najszczytniej, a miłość ojczyzny i odwagę w pracy dla niej doprowadził do ostatecznych granic.

....., wszedłem między mnichy
Ja, niegdyś dumny z rodu, ja, com był junakiem,
Spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem,
Że jako robak....
Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady
Trzeba było okupić dobremi przykłady,
Krwią, poświęceniem się..
Biłem się, jak, gdzie, zmilczę. Nie dla chwały
Ziemskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały
Tyle mi wolno przyznać, żem żył dla Ojczyzny,
Żem najmilej te spełniał rozkazy starszyzny,
Gdzie wiele niebezpieczeństw, mało było sławy...
.....Znają i Galicyanie
Ten kaptur mnisi, znają i Wielkopolanie!
Pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy.
Trzy razy Moskwa kijami zraniła mi plecy.
Raz już wiedli na Sybir. Potem Austryacy
W Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy
W carcer durum...

Lecz ksiądz Robak nie jest przecież pierwszą postacią kapłana-patrjoty w mickiewiczowskiej poezji. Ma on poprzedników. Od momentu głębokiej ewolucji moralnej, jaką wieszcz przeżył w Rzymie, od chwili, w której dusza jego obudziła się do życia religijnego, sługa Chrystusowych ołtarzy staje się jednocześnie w dziełach poety przedstawicielem niesłychanej mocy ducha i uosobieniem ofiarnej pracy dla Ojczyzny.

W III części Dziadów widzimy najpierw księdza Lwowicza. Napoły kolega uwięzionej młodzieży, a napoły już jej opiekun duchowy, przestrzega, gdy bluźniercze słowa płyną z ust Konrada, czuwa nietylko nad obecnymi, ale i nad męczennikiem - samobójcą z odleglejszej celi i ogtów znieść mężnie wszystko, co go z ręki wroga spotkać może. Wszakże mówi on:

— Bracia, kto wie? Ów więzień może jeszcze żyje.
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.
Ja, jak ksiądz, pomodlę się i wam radzę szczerze
Zmówić za męczennika spoczynek pacierze.
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

Po księdzu Lwowiczu jak cień przesuwa się sylweta kapłana z monologu Sobolewskiego:

Nagle lud cały runął przez drzwi nawałem
Z kościoła ku więzieniu. Stałem przed przysionkiem
I kościół był tak pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem...
Spojrzałem w kościół pusty i ręce kapłańska
Widziałem, podnoszącą Ciało i Krew Pańską,
I rzekłem: — Panie, Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą ni wielką, lecz równie niewinną.

Lecz choć słowa te wymawia człowiek świecki, potęga sugestii ich jest tak wielka, iż wyczuwamy jak najwyraź niej intencję modlitewną tego, kto msze odprawuje. Wiemy, że w cudownej chwili Podniesienia on również modli się za tę garść młodzieży skutej, przejeżdżającej w kibitkach pod kościołem, i za męczennika, którego pozbawiła życia przemoc katowska.

Wreszcie przechodzimy do księdza Piotra. I tu nie chcę roztrząsać rzeczy znanych. Wiemy przecie wszyscy, iż zwycięstwo moralne i odpowiedź na dręczące zapytania otrzymuje nie Prometeusz-Konrad, lecz cichy, pokorny zakonnik. Takie rozwikłanie dramatu spowodował również ów wspomniany powyżej przełom duchowy, jakiemu poeta podległ w Wiecznem Mieście.

W tej chwili chodzi nam jednak nie o wizję zaziemską księdza Piotra. Bierzemy go takim, jakim jest wobec ludzi, a więc wobec więźniów, powierzonych przez Opatrzność jego pieczy — Konrada i Rollisona, oraz tyranów gnębicieli — zatem senatora wraz ze świtą swych zauszników. I tu spotykamy ten sam, co i u księdza Robaka, element nieustraszonej odwagi. Cichemu braciszkowi z Dziadów nie było dane walczyć orężnie za Polskę, jak walczył za nią Jacek Soplica, lecz jakże nieugięcie staje on wobec brutalnej przemocy, która go może zetrzeć na proch, gdy chodzi o spełnienie kapłańskiego obowiązku.

Przypomnijmy jego dialog z Nowosilcowem:

— W jakim klasztorze bractwo twe?
— U bernardynów.
— A u dominikanów masz pewnie kuzynów...
Mnichu! Czy ty słyszałeś o ruskim batogu?...
.... Wszak ty służysz Bogu,
Więc wiesz, że wszelka władza od Boga pochodzi!..
— Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha.
Bóg czasem władzę daje w ręce złego ducha...

pada na to spokojna odpowiedź zakonnego brata.

Zdarzyło się przed wiekami, iż cesarz Teodozjusz, po rzezi, dokonanej z jego woli w Tessalonice, chciał, nie odprawiwszy pokuty, wejść w Medjolanie do kościoła, niosąc chleb i wino na ofiarę mszy świętej. Ale biskup medjolański, św. Ambroży, zaszedł mu drogę i broniąc wstępu, rzekł:

— Nie wchodź, cesarzu. A jako temi rękami Ciało Pańskie weźmiesz, któreś tak niewinną krwią pomazał. Jako do ust tych krew Jego przyjmiesz, który cheś na tak okrutne rozkazy używał.

To wydarzenie mimowoli przychodzi na myśl, gdy się studjuje psychikę katolickiego kapłana taką, jak ją pojmował Mickiewicz. Psychika ta jest w każdym calu bohaterska.

Wzorów do niej nie potrzebował poeta szukać daleko. W Polsce nie brakło sług Chrystusowych, których dusze były kute z najszlachetniejszego nieugiętego metalu. Nie byłby nigdy pochylił czoła przed brutalną przemocą Skarga. Nie pochylił go Kordecki. Pamięta nieustraszonych kapłanów ziemia chełmska i męczeńskie Podlasie. Znały ich więzienia carskie, w których skazańcom nieśli pokrzepienie i patrzeli bez zmrużenia oczu na szubienice, dla nich samych przeznaczone. Ale zasługa poety polega na tem, że umiał odczuć wielkość i moc duszy tych żołnierzy z armji Chrystusa, a zarazem najwierniejszych synów Polski, że ich wysuwał w swych utworach na plan pierwszy i mistrzostwem swego pióra unieśmiertelnił.

MARJA DYNOWSKA (Kraków).

Stulecie Melbourne

Równo sto lat temu zawartą została jedyna w swoim rodzaju transakcja handlowa:

Na południowem wybrzeżu Australji wylądował niejaki John Batman, awanturniczy żeglarz z Tasmanji, i zawarł z dzikimi krajowcami umowę, mocą której w zamian za parę tuzinów koców i kilkaset noży i tomahawków stał się właścicielem dziewiczych terenów o powierzchni trzystu tysięcy akrów.

Operetkową tę transakcję uznał wkrótce rząd angielski za zupełnie legalną i obowiązującą. Przystąpiono do wykarczowania terenów położonych po obu brzegach rzeki Yarra — i w ten sposób powstało Melbourne, dzisiaj miasto, liczące ponad miljon mieszkańców stolica angielskiej kolonji Victoria, wchodzącej obecnie w skład potężnego dominjum „Commonwealth of Australia“.

* * *

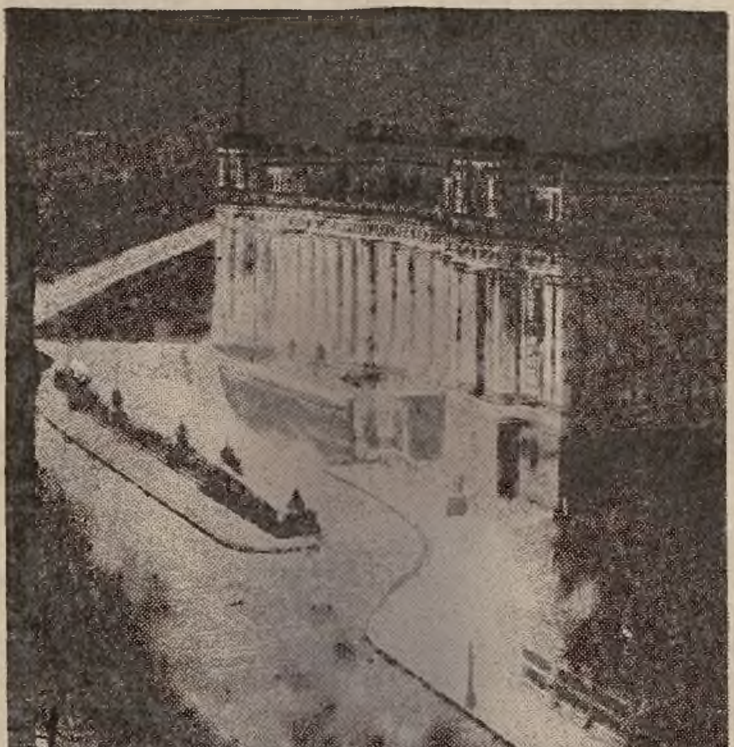
Historja powstania i wzrostu tej metropolji brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Nie tak to dawne czasy jeszcze, gdy do Australji ciągnęły gromady awanturników, poszukiwaczy złota, by w ciągu paru miesięcy zdobyć olbrzymi majątek lub zginąć z wyczerpania, głodu i pragnienia. Melbourne ówczesne było raczej nędzną osadą, posiadającą tylko prymitywne gospody czy szynki, zwane popularnie „pub“, w których nowocześni Argonauci sprzedawali zdobyte w krwawym trudzie i wysiłku złoto



Melbourne. Widok ogólny

Przyszły na Melbourne czasy „prosperity“. Miasto rosło z każdym rokiem stając się ośrodkiem handlu złotem, a wkrótce i niemniej lukratywnego handlu wełną i skórami.

Jak grzyby po deszczu wyrastały wspaniałe gmachy, pałace, kościoły, teatry, muzea. Był czas, — z końcem zeszłego wieku, — gdy przyrost ludności wyrażał się cyfrą trzech tysięcy osób tygodniowo.



Gmach parlamentu w Melbourne

Był czas, gdy Melbourne pretendowało do miana stolicy całej Australji. Ambitne te plany i fantazje rozwiały się w zetknięciu z twardą rzeczywistością: kryzys światowy wpłynął ujemnie na dalszy, zbyt szybki i gorączkowy rozwój miasta, — nazywanego „Rzymem Australji“ ze względu na jego malownicze położenie na siedmiu wzgórzach.

Nową stolicę poczęto budować w roku 1927, dnia 9 maja tegoż roku położono kamień węgielny pod budowę stolicy, Canberra, — co jednak wkrótce okazało się pomysłem zupełnie niefortunnym.

Dziś Melbourne zrezygnowało ze swych wygórowanych aspiracyj, wracając do swej właściwej roli wielkiej metropolji wiktorjańskiej. Rozwija się dalej w normalnem tempie [illegible] z usprawiedliwioną ufnością w przyszłość.

Setną rocznicę swego założenia, przypadającą na rok bieżący, postanowiło miasto uczcić w sposób wyjątkowo wspaniały. Na uroczystości, organizowane pod hasłem „Sto lat postępu“, ma przybyć jeden z członków angielskiego domu panującego. Zapowiedziane też jest przybycie słynnej orkiestry wojskowej Goldstream guards, ustrojonej w swe charakterystyczne olbrzymie czapki futrzane.

Dzisiejsze Melbourne wyglądem swym przypomina olbrzymie metropolje amerykańskie. Gmach parlamentu, pałac rządowy, imponujące drapacze chmur, uniwersytet, wspaniałe parki i ogrody, szerokie bulwary, po których sunie długi sznur wytwornych samochodów, giełda pieniężna i towarowa, wreszcie gmachy licznych banków z całą armją urzędników, — wszystko to każe przybyszowi zapominać, że nie dalej jak sto lat temu było na tem miejscu jedno wielkie niegościnne pustkowie, przedstawiające niemal groszową wartość...

(kr.)

Jak wygląda dziennikarstwo japońskie

Prasa japońska powstała stosunkowo bardzo niedawno: pierwszy dziennik „Mainiszi Szimbun“ zaczął wychodzić w Jokohamie w roku 1870.

Zarówno ten, jak i pojawiające się wkrótce potem inne dzienniki miały charakter wybitnie postępowy, pod hasłem cywilizacji Zachodu Nie podobało się to stanowisko prasy ówczesnemu rządowi, który starał się zahamować jej rozwój drogą represyj. Zabroniono tedy zatrudniania w dziennikarstwie cudzoziemców (Amerykanów i Anglików), rozmaitemi szykanami starano się podkopać byt niemiłych rządowi dzienników, a od lipca 1877 poczęły sypać się konfiskaty.

Dopiero rok 1887 przyniósł zasadniczą zmianę: ustawą z dnia 28 grudnia zagwarantowaną została wolność prasy, co następnie znalazło jeszcze wzmocnienie w konstytucji.

* * *

Od tej chwili prasa japońska poczyna się rozwijać w gwałtownem tempie. Dzienniki zdecydowanie polityczne, początkowo bardzo rozpowszechnione, tracą jednak rychło na wpływie i znaczeniu, ustępując miejsca pismom apolitycznym, typu czysto informacyjnego. Pierwszym tego rodzaju dziennikiem był „Kokumin Szimbun“, założony w roku 1890, który wkrótce osiągnął nakład 50 tysięcy egzemplarzy.

Dziennik ten jednak stracił wkrótce swą popularność, kiedy przeszedł na służbę rządową. Po wojnie japońsko-rosyjskiej wzburzony tłum zdemolował zupełnie lokal tego dziennika, który wbrew opinji publicznej stanął zdecydowanie po stronie rządu.

W rezultacie rząd zmuszony był ogłosić stan oblężenia i zawiesić wydawnictwo kilku dzienników.

Dzienniki pro-rządowe straciły wszelkie znaczenie. Wytworzył się nowy typ wielkich dzienników, zajmujących politycznie zupełnie neutralne stanowisko, a wzorowanych na prasie amerykańskiej. Dzienniki zamieniły się w prawdziwe „magazyny“, o treści bardzo urozmaiconej. Sport, teatr, życie kulturalne i umysłowe, nowinki z dnia i sensacje, jak największej sensacyj, to treść dzisiejszego dziennika japońskiego

* * *

Sensacje te fabrykuje się bez skrupułów, „byle handel szedł“. Podaje się wiadomości wręcz fantastyczne nieraz, ale potrzebne w danej chwili dla urobienia opinji publicznej, zwłaszcza o ile idzie o sprawy zagranicznej polityki Japonji.

A informacyj tych nigdy się nie prostuje. Ludzie znający tamtejsze stosunki utrzymują, że prasa japońska ma dwa oblicza: jedno dla zagranicy, drugie dla „wewnętrznego użytku“...

Prasa socjalistyczna w Japonji faktycznie nie istnieje, dzięki zdecydowanemu stanowisku rządu, który wszelkie próby jej powstania dusi z nieubłaganą energją.

* * *

Jak przedstawia się prasa japońska w obecnej chwili? Cały rynek opanowały właściwie dwa potężne koncerny prasowe, wzajemnie się zwalczające.

Jeden to koncern „Asahi“, posiadający dwa wielkie dzienniki „Osaka-Asahi“ o nakładzie 1 miljon 300 tysięcy egzemplarzy, oraz „Tokio-Asahi“ o nakładzie 650 tysięcy egz.

Koncern ten zajmuje stanowisko zupełnie niezależne, nie korzysta z żadych jawnych czy tajnych subwencyj, a posiada kapitał zakładowy 6 miljonów yenów. Większość akcyj znajduje się w rękach rodziny Murayama i Uyeno.

Silniejszym finansowo jest drugi koncern „Mainiszi“, popierany silnie przez wielki przemysł i kapitalistów. Dysponuje on również dwoma dziennikami „Osaka-Maimiszi“ i „Tokio-Maimiszi“, o nakładach 1,200.000 i 750.000 egzemplarzy.

Obok tego wymienićby jeszcze należało wychodzące w Tokio: „Yomiura“ (nakład 500 tys. egz.), „Hoszi“ (nakład 350 tys. egz.), wreszcie „Szin - Aiszi“ i „Fukuoka-Nisziniszi“, oba o nakładzie ponad 200 tysięcy egzemplarzy.

* * *

A teraz parę słów o samych dziennikarzach. Dziennikarz japoński cieszy się w kraju zupełnie wyjątkowem stanowiskiem, pewnego rodzaju nietykalnością. Stoją przed nim otworem wszystkie drzwi, w oczach zwykłego śmiertelnika uchodzi za coś wyższego, niemal niedostępnego.

Gorzej wygląda sprawa z punktu widzenia finansowego. Początkowa płaca — 50 yenów miesięcznie. Jeśli ma naprawdę talent i „nerw“ dziennikarski, może dojść „nawet“ do 150 yenów. Pensja naczelnego redaktora rzadko przekracza 250 yenów miesięcznie! Coprawda, życie w Japonji jest tanie, a mieszkańcy mają skromne wymagania, nie dające się porównać ze stosunkami w Europie.

Płace te uważać można jeszcze za „królewskie“, jeśli porównamy je z pensjami urzędników w Japonji.

Natomiast prawdziwą gratką dla dziennikarza jest podróż „służbowa“ zagranicę, czyto na teren operacyj wojennych, jak np. niedawno temu w Chinach i Mandżurji, czy na Zachód. Na koszty podróży i djety otrzymuje wówczas tyle, że conajmniej połowę może spokojnie odłożyć.

Toteż najlepszą „synekurą“ jest stanowisko stałego korespondenta w Paryżu, Londynie, czy Nowym Jorku, a odwołanie go do ojczyzny, choćby z dużym awansem, uważane jest za dotkliwą karę.

(k. r.)

Telewizja systemu Zworykina

Kwestja przesyłania obrazów na odległość znajduje się ciągle jeszcze w stadjum prób, badań i ulepszeń, — jakkolwiek zasadniczo została już ostatecznie i w sposób zadowalniający rozwiązana.

Najpowszechniej znanym jest system przesyłania obrazów zapomocą tzw. „tarczy Nipkowa“, o którem to urządzeniu pisaliśmy już obszerniej w swoim czasie. W krótkości tedy przypomnimy tylko, że system ten zasadza się na właściwościach komórki fotoelektrycznej, która otrzymywaną energję świetlną przetwarza na energję elektryczną.

Wytworzony w ten sposób prąd zmienny, po przejściu przez amplifikator przesyłany bywa do lampy neonowej, oświetlającej tarczę odbiorczą, we formie dysku, obracającego się z ogromną szybkością, a zaopatrzonego w szereg otworów. Taki sam dysk, którego obroty są dokładnie synchronizowane z dyskiem odbiorczym, znajduje się i w stacji nadawczej.

System ten ma jedną wielką wadę: szybkość obrotów tarczy nie może przekraczać pewnej określonej granicy, gdyż pociąga to za sobą zmniejszenie się intenzywności światła, — w ślad za czem obraz staje się niewyraźnym, zamazanym i ciemnym.

Istnieje jednak i drugi sposób przesyłania obrazów na odległość, a to zapomocą promieni katodowych. Opiera się on zasadniczo na właściwościach tzw. oscilografu katodowego, zrealizowanego po raz pierwszy w roku 1897 przez Ferd. Brauna. profesora na Uniwersytecie w Strasburgu.

Mamy tu do czynienia ze znaną powszechnie tzw. „rurką Brauna“, stanowiącą podstawę tak popularnego dziś oświetlenia neonowego okien wystawowych, reklam itp.

Owe promienie katodowe powstają w ten sposób, iż w hermetycznie zamkniętej rurce szklanej umieszczone są w próżni, dwie elektrody metalowe, które łączymy z dwoma biegunami prądu o wysokiem napięciu. Wówczas na ściankach rurki pojawia się zielonkawe światło, wywołane przez promienie katodowe, czyli elektrony ujemne.

Rzucając snop tych promieni na dno lampki powleczonej świecącą powierzchnią i poddając je naprzemian działaniu pola elektrycznego lub magnetycznego, otrzymamy wierną transmisję obrazu, naświetlanego przez te promienie katodowe.

Promienie te nadają się zatem idealnie do telewizji — i szereg badaczy podejmował już oddawna próby w tym kierunku: Rosing, Campbell Swinton (1911), Dauvillier (1923) i ostatnio Manfred von Ardenne.



Lampa katodowa, której dno służy jako ekran do odbierania obrazów

Najlepsze jednak rezultaty praktyczne osiągnął ostatnio uczony amerykański doktor Zworykin pracujący w laboratorjach firmy R.C.A. Victor Co. w New - Jersey.

Aparat jego składa się z dwóch części: „ikonoskopu“ nadającego obrazy, — oraz „kineskopu“ służącego do odbioru.

Największą trudność stanowiło znalezienie dość silnie świecącego ekranu nadawczego i odbiorczego, na których występują transmitować się mające obrazy. Trudność tę pokonał Zworykin w oryginalny sposób: mianowicie na miejsce tego ekranu daje rodzaj mozaiki fotoelektrycznej, na którą rzuca się obrazy zapomocą objektywu. Mozaika ta o wymiarach 10×12.5 ctm., składa się z trzech miljonów maleńkich komórek fotoelektrycznych, rozłożonych równomiernie, lecz izolowanych jedna od drugiej. Umieszczone są one na cieniutkiej płytce z miki, do której z drugiej strony przylega ściśle płytka metalowa.

Każda komórka zatem stanowi rodzaj maleńkiego kondensatora, odbierającą ładunek elektryczny, przesyłany jej z rurki Brauna, z szybkością 1/25 sekundy.

Nie wchodząc w techniczne szczegóły zaznaczamy, że zapomocą tego urządzenia otrzymać można obrazy znacznie wyraźniejsze niż z pomocą tarczy Nipkowa, — a co najważniejsza, nie cierpi na tem zupełnie intenzywność oświetlenia.

Transmisja odbywa się na falach krótkich.

Największa trudność polega na fabrykacji komórek fotoelektrycznych, które zarówno w aparacie nadawczym jak i w odbiorczym muszą mieć zupełnie identyczne wymiary.

Jest to już jednak zagadnienie czysto techniczne i leżące zupełnie w granicach możliwości, zwłaszcza przy zorganizowaniu masowej produkcji tych aparatów.

Jak dziś sprawy stoją, można przewidywać że system Zworynika znajdzie niezadługo powszechne zastosowanie, — a wówczas i ceny tych aparatów, dotychczas bardzo wysokie, staną się dostępne dla szerokich mas radjoamatorów, czekających niecierpliwie na praktyczne zrealizowanie telewizji.

Ciekawostki radjowe

Język grecki w radjo włoskiem. Pisaliśmy niedawno o istnieniu wieży Babel we włoskiej radjostacji w Bari, nadającej audycje w językach włoskim, arabskim, albańskim i kroackim.

Obecnie wprowadzono tam ponadto stałe audycje w języku nowogreckim. Stacja ta służy przedewszystkiem celom propagandy zagranicznej.

Radjo w Islandji. W trakcie jest budowa pierwszej krótkofalowej stacji nadawczej w pobliżu Reykjavik. Stacja ta ma być uruchomiona jeszcze przed zimą.

Telewizja we Włoszech. W Turynie uruchomiono pierwszą nadawczą stację telewizyjną. Nadaje ona obrazy na fali 5 mtr. i 8 mtr. długości.

Opłaty radjowe w Holandji. Holandja należała dotychczas do tych nielicznych krajów, gdzie radjosłuchacze nie opłacali żadnej taksy, prócz drobnych wkładek członkowskich za należenie do tego czy innego związku.

Obecnie rząd zamierza przedłożyć parlamentowi projekt ustawy, mocą której każdy posiadacz aparatu radjowego musiałby opłacać taksę roczną w wysokości trzech guldenów. Wolnemi od opłaty byłyby tylko aparaty detektorowe (na kryształek).

Telewizja w Austrji. Od siedmiu lat istnieje we Wiedniu urządzona kompletnie przez firmę Siemens - Telefunken stacja telewizyjna nadawczo - odbiorcza.

Przesyłać można obrazy maksymalnej wielkości 18 x 24 ctm., a koszt przesyłki np. do Niemiec wynosi 21.6 szylingów za najmniejszy obraz 10 x 10 ctm.

Stacja ta oddaje duże usługi w służbie policji międzynarodowej (przesyłanie fotografji zbrodniarzy, odcisków palców, podobizny skradzionych kosztowności, dokumentów, i t. p.).

Rząd austrjacki korzysta też z niej często dla przesyłania dzienników zagranicznych, ilustrowanych reportaży, ważniejszych wydarzeń politycznych i sportowych

Łacina w radjo. Dyrekcja włoskiego radjo, E.I.A.R., postanowiła wprowadzić na próbę prelekcje w klasycznym języku Cicerona, — wychodząc ze słusznego założenia, że język łaciński znajdzie znacznie więcej wdzięcznych słuchaczy, niż np. esperanto.

Apel do radjosłuchaczy. Speaker paryskiej radjostacji PTT, rozpoczynając poranne audycje, wygłosił na wstępie następujące krótkie przemówienie:

„Miło mi jest powiedzieć państwu dzień dobry. Z pewnością jednak niejeden z waszych sąsiadów śpi jeszcze w najlepsze, zmęczony długą pracą nocną. Uszanujcie państwo zatem jego sen, przytłumiając wasze głośniki!“

Rada bardzo rozsądna. Wszyscy radjosłuchacze winni ją sobie wziąć do serca. Bo choć teoretycznie „wolność Tomku w swoim domku“, — to jednak pamiętać należy, że w tym wypadku „wolność“ ta ogranicza się powinna do czterech ścian własnego mieszkania. Własna rozrywka nasza nie powinna nigdy stać się źródłem przykrości dla sąsiadów.

Stacja krótkofalowa w Berlinie. Rząd niemiecki przystępuje do budowy nowej radjostacji na fale krótkie, poniżej dziewięciu metrów.

Amory Baltazara i Nastusi

Czytając tak częste obecnie skargi i procesy o niedoszłe małżeństwa, zerwanie słowa przez jedną lub drugą stronę i wynikłe z tego zawody i straty materjalne, — mimowoli sięgamy myślą wstecz, w mroki siedmnastego wieku, przypominając sobie nieśmiertelne „nil novi sub sole"...

Tak jest, — wszystko to już było, a akta radzieckie miasta Lwowa stanowią pod tym względem prawdziwą kopalnię spraw podobnych, rzucających ciekawe światło na ówczesne obyczaje mieszczan lwowskich.

Jedną z takich spraw jest proces, wytoczony przez bogatego patrycjusza lwowskiego, Baltazara Grabowskiego, młodej, urodziwej Rusince, Nastuni Hrehorowicz.

Imci pan Baltazar był wdowcem, w podeszłym już wieku. Chociaż pochwalić się już mógł wówczas wnukami, — to jednak posiadał serce gorące, a co ważniejsze, ładny mająteczek. „Trzymając najmem Kram" w domu, należącym do Wasyla Hrehorowicza, poznał się z córką tegoż, figlarną a sprytną, Nastusią.

Siedm lat wzdychał podtatusiały adonis, znosząc różne prezenty wybrance swego serca. Siedm lat łudził się nadzieją, że wreszcie stanie z nią na ślubnym kobiercu...

A miał słuszne podstawy tak sądzić: nadobna Nastusia wdzięcznem sercem przyjmowała dary, schodziła się z nim niejednokrotnie, a w liścikach swych niedwuznacznie dawała mu do zrozumienia, że wyjdzie za niego, nawet wbrew woli rodziny.

Co więcej, wobec przyjaciół Grabowskiego, dała słowo, iż chce mu być „przyjacielem dożywotnim", a w liścikach swych poucza go, w jaki sposób ma mówić przed jej „panią matką", bratem i siostrą, którzy małżeństwu temu byli przeciwni.

W dowód swego niezmiennego afektu, przesyła mu nawet obrazek Matki Boskiej, dołączając do niego krótki wierszyk:

„Ten maleńki prezencik niech nie będzie małym.
W oczach Twoich, albowiem serce... mojem stałem
nieodmiennie życzliwość w nim reprezentuję,
gdy Królowej nad królmi konterfekt daruję."

Nic dziwnego, że imci pan Baltazar był w siódmem niebie i czekał niecierpliwie na moment, gdy Nastusię będzie mógł wprowadzić do swego domu.

Aż oto spada grom z jasnego nieba: „Inimicus homo", niejaki Cyrjak Papara, porywa — rzekomo bez wiedzy i zgody jej rodziców — piękną Nastusię z jej domu, uwozi ze sobą i bierze z nią ślub, zupełnie formalny, jakkolwiek zawarty nie w kościele, lecz w domu prywatnym.

Zakipiało wszystko w zdradzonym i wywiedzionym niegodnie w pole Baltazarze. Szuka zemsty i satysfakcji, gromadzi materjał dowody, owe kompromitujące liściki, cytuje świadków — i wnosi skargę zarówno do sądów duchownych, jak i do świeckich na ratuszu.

W rezultacie dnia 14 października 1668 roku prawosławny episkop lwowski, Józef Szumlański, rzuca uroczystą klątwę kościelną na Nastusię i jej męża, Cyrjaka Paparę. Klątwa ta została wkrótce potem cofnięta, a cała sprawa przeszła do Urzędu radzieckiego.

Nieutulony w żalu pan Baltazar przedkłada w sądzie rachunek swych wydatków i strat, na jakie narażony został z winy Nastusi, wliczając w to nawet „szkody moralne", jakbyśmy to dziś nazwali:

„Przeto, iż do znacznych szkód mnie przywiodła i kontemptu nabawiła i sławy mnie pozbawiła, na com gotów przysiądz, że więcej mam szkód bez mała wiela na 3.000 zł."

Ale i Nastusia nie w ciemię była bita: zarzeka się kategorycznie, jakoby kiedykolwiek dawała Grabowskiemu słowo, lub brała od niego podarki.

Cytuje świadka, który zeznaje, że kiedy była mowa o ewentualnem małżeństwie z Grabowskim, oświadczyła stanowczo: "Nie moja rzecz za Polaka pójść".

Co więcej, młodzi państwo Paparowie podnoszą ze swej strony roszczenia, domagając się od Grabowskiego odszkodowania 15.000 złotych za „napaść prawną".

Jak się ten cały proces zakończył, o tem akta radzieckie milczą, — przypuszczać zatem należy, że „strony" pogodziły się pozasądownie, a — jak zwykle — najlepiej na tem wyszli „prolokutorzy" czyli adwokaci... (R.)

Krakowskie anteny i Fredro

Przysłowia są mądrością narodów, powstającą i formującą się w tyglu długich lat doświadczeń i przeżyć całych pokoleń, całych generacyj. Z dziada na wnuka przechodzą pewne „powiedzonka", pewne uwagi, kryjące w sobie większą **głębię myśli**, niż to na pierwszy rzut oka wygląda. Wkońcu zyskują sobie one prawa obywatelstwa, wchodzą w powszechne użycie, tak, **że nikt nie potrafiłby** odtworzyć ich rodowodu, ni podać — choć w przybliżeniu — czasu powstania. I żyją sobie, zawsze młode, zawsze miode, zawsze jednako słuszne, zawsze jednako prawdziwe.

Aż raptem, znajdzie się ktoś, kto zastanowi się nad niemi — czy jednak rzeczywiście **są** tak słuszne? Czy rzeczywiście są tak prawdziwe? Bo weźmy choćby tak popularne — „...jaki ojciec — taki syn", a tu nasuwa się tyle wręcz przeciwnych przykładów: **olimpijczyk Goethe** ze swym synem — **matołkiem**, **Cato Maior** i jego syn, a z Polaków — **Czarniecki** i jego syn, książę **Jeremi Wiśniowiecki** i — nieudolny król — syn jego Michał Korybut. Więc jakże z tą prawdziwością?

I tu dochodzimy do ciekawej konkluzji: okazuje się: że wszelkie reguły, formuły — a w tym wypadku — przysłowia, znajdują zastosowanie tylko i wyłącznie do ludzi normalnie przeciętnych. Ludzie przekraczający te normy mogą być używani jako materjał do porównań i przysłów, rządzą się bowiem w tej dziedzinie jakoby innemi, odmiennemi prawami.

Jeszcze jeden — wprawdzie już znacznie łagodniejszy — przykład: nasz wielki, znakomity komedjopisarz **Aleksander Fredro**, zwany **„Polskim Molierem"** i jego syn Jan — Aleksander. Jakaż przepaść między twórczością obu, jak podobną a równocześnie **jak różną** ona była. Obydwaj tworzyli w tym samym zakresie: farsy, komedje, krotochwile; obu konwencjonalnie zwiemy „komedjopisarzami". Ale czy obaj na to zasługują? Od wybitnych tworzyw ojca, będących **fundamentami komedji narodowej**, do miernych sztuczek syna, grywanych na scenkach amatorskich. Jaki wielki kontrast, jakie olbrzymie oddalenie!

Ale przecież moglibyśmy wziąć tę sprawę z nieco innej strony. Środowisko w jakiem pisał Jan — Aleksander Fredro, znalazło pełne odbicie w jego twórczości, tem samem — do pewnego stopnia — jego dzieła można porównać z teką szkiców — może niezbyt starannie wykonanych, ale bliskich życiu, a więc rzeczywistości. Te właśnie dodatnie strony twórczości Jana—Al. Fredry w całej pełni uwypuklone zostały w radjofonizacji jego komedji pt.: **„Piosnka wujaszka"**, nadawanej przez **rozgłośnię krakowską**. Treść prosta i niewyszukana: spotkanie się emerytowanego prof. gimn. w miejscowości kuracyjnej, ze swą — obecnie owdowiałą, — dawną „sympatją" studencką, która — po różnych perypetjach — oddaje mu wkońcu rękę, przyzwalając równocześnie na małżeństwo córki z siostrzeńcem swego przyszłego męża. A wszystko to ułatwia „piosnka wujaszka", która jest **„spiritus movens"** całej akcji. Humor naprawdę prosty, sytuacje nieskomplikowane; ale w całej pełni zasługuje na podkreślenie radjofonizacja i reżyserja, które **wydobyły** maksimum możliwości radjootwórczych. Gra artystów dobra. Doskonale wypadły wszystkie piosenki, z podłożoną muzyką, utrzymaną w odpowiednim stylu. Jednem słowem Kraków rozpoczął nowy sezon radjowy pod dobrym znakiem.

Również piękne słuchowisko — o bardzo wielkiej wartości artystycznej — pt.: **„Pleśń wolności"** nadawała rozgłośnia warszawska. Słuchowisko to oparte na motywach zostawionych przez R. H. Bartscha i J. Kornika, a opracowane przez **Józefa Mayena**, dobrze radjosłuchaczom znanego autora wielu pięknych słuchowisk — wspomnę tylko **„Sonatę księżycową"** czy **„Najszczęśliwszego człowieka na świecie"** — należało do audycyj o wysokim poziomie. Akcja rozgrywająca się w okresie wielkiej rewolucji francuskiej, wprowadziła nas w świat tych uprzywilejowanych „dziesięciu tysięcy" arystokratów, którzy niższe sfery uważali jedynie jako materjał do eksploatacji. Moment zetknięcia się przedstawicieli różnych tych warstw społecznych, zabarwiony uczuciowemi komplikacjami, oto wątek akcji.

Najciekawszą rzeczą — jeśli chodzi o konstrukcję słuchowiskową — było to, że mimo, iż dramatyczność była silnie podkreślona, to nie narzucała się **ona** bezpośrednio, lecz została przesunięta na dalszy plan, oczywiście nie akcji, lecz radjorealizacji. Tak więc słuchacze — mimo doskonałej orjentacji w treści — nie przeżywali brutalnej, bezpośredniej grozy. I ten sposób ujęcia treści wyszedł całej audycji na dobre. Dodam, że i gra artystów stała na bardzo wysokim poziomie, a ilustracja muzyczna — dyskretna i wdzięczna — dopełniała całości.

r. R.

PIOTR FREUCHEN

ESKIMOS

80

Autoryzowany przekład Ireny Łozińskiej

„Przekonałeś się, że nie możesz uciec. Będziesz każdej nocy tak spętany, a w dzień będziesz musiał pracować tu na stacji, pod nadzorem konstabli. Jeżeli będziesz usiłował uciec, jeżeli będziesz nieposłuszny, albo leniwy, nałożą ci również i na dzień kajdany. Od ciebie zależy, jak będą z tobą postępowali".

„Czy to mowa białego człowieka?" zapytał Mala Joego.

„Tak, to mowa białego człowieka". Joe stał się teraz wyniosły i kategoryczny. Widział, że Mala przegrał. Mala był teraz schwytanem zwierzęciem i Joe chciał się zemścić, gdyż przed przybyciem inspektora Mala go lekceważył. „To mowa białego człowieka", powtórzył Joe. „I radzę ci żebyś go słuchał, gdyż to ostry człowiek. Albo ja, albo któryś z białych ludzi będziemy pilnowali ciebie przez cały dzień".

„Jeżeli masz mnie pilnować", odpowiedział Mala, „to dobrze, że jesteś takim dzielnym człowiekiem".

Mala był dosyć przebiegły i nie powiedział, że nie zgodzi się na to, żeby go Joe pilnował. Nie wiedział co Joe powie dalej.

Inspektor otworzył kajdany i Mala przeciągnął się mimowoli. Zgięty grzbiet bolał go a kolano musiał wyprostować.

„Wstawaj prędko", rozkazał inspektor.

Joe przetłómaczył:

„Masz wstać prędko. Zaczkasz tu zanim zjemy k. Siadaj tam w kącie...

Mala czuł w swojej słabości pewną siłę. Będę stosował się do ich rozkazów, ale znajdzie się jeszcze jakaś droga wyjścia! Jego twarz nabrała wyrazu przyuchienia. Przytłumił wszystkie myśli i siedział osowiale na ławce, gdy wszyscy weszli do pokoju. Zaraz potem Joe zniknął.

Jedli w milczeniu. Mala widział, że sierżant i jego trzej konstable również nie cieszą się tym nowym człowiekiem.

Gdy zjedli, Joe wrócił i podano jedzenie Mali. Niedobre jedzenie, jak to Joe z zadowoleniem stwierdził. Ale stwierdził również, że i jego jedzenie nie jest już tak dobre, jak było przedtem. Mleka nie dano a słodki chleb usunięto, zanim zdążył siąść do stołu. „No, tak", myślał Joe, „ale to nic nie szkodzi. Chodzę często do spiżarni. To, czego tu nie dostanę, mogę zjeść w domu u swojej żony". Twarz Joego wyrażała zadowolenie, gdy zaczął swoją codzienną pracę.

„Więzień musi śnieg odrzucać. Każcie mu zrobić szerokie przejście przed domem. Możecie pilnować go na zmianę. Będzie pracował przez cały dzień, z przerwą obiadową. Wieczór przywiążemy go do ławki a w nocy znowu przykuje mu się rękę do nogi".

„Podług rozkazu", odpowiedziano i zaraz wszedł inspektor do swojego pokoju.

Mala odgarywał śnieg. Czy była to praca wolnego człowieka? Praca, przy której nie trzeba było myśleć. Praca niewolnika.

Wieczór założono mu kajdany na ręce i przymocowano do ławki. W pewnej chwili, nie pamiętając o tem, wstał, by wziąć jakiś przedmiot. Ale kajdany zatrzymały go. Powstał hałas, Joe odwrócił się i uśmiechnął szyderczo. Tak, Mala się schwytany, jak wilk, czuł również, że wybiera w nim dzika wściekłość. Nienawiść do Joego i do białego człowieka. Nienawiść do sierżanta, którego uratował od śmierci, a który mu to wszystko narzucił. Dlaczego wcześniej nie uciekł? Tak, dlaczego? Sam tego nie rozumiał. Był to urok białego człowieka, któremu zawsze się ulega.

Mala w ciągu dwóch dni zgarnął wszystek śnieg, a gdy nie było go już koło domu, kazano mu oczyścić drogę do składu mięsa. Tam leżały reny, które on sam upolował. Teraz widział, że Joe nosząc mięso na posterunek, zabiera wielkie kawały do domu. Wiedział dobrze, że Joemu nie wolno tego czynić, ale był za dumny by go zdradzić. Mala był wprawdzie więźniem, jednak pozostał tym samym Malą. Wilk w pułapce jest jednak wilkiem a zraniony niedźwiedź pozostaje niedźwiedziem.

Jednego dnia popołudniu Make pilnował więźnia. Wściekłość Mali potęgował już sam fakt, że widzi stale koło siebie człowieka, który nie ma żadnego zajęcia, tylko patrzy wciąż na niego. Zaczął więc dalej rozmyślać nad zemstą. Widział, że Joe przyprowadza obcych ludzi, wskazuje na niego i objaśnia. Widział, co Joe mówił do tych ludzi: był to opowiadanie o człowieku, który ma być powieszony. „Joe nie pożyje długo, gdy będę wolny. Muszę zmścić się, myślał „a potem jakże będzie przyjemnie pokrajać go i grzebać się w jego wnętrznościach, gdyż Joe musi być zabity". Ale jego twarz była bez wyrazu. Szufiował śnieg.

Widział że inspektor wyszedł z domu. Make przywitał go a inspektor odpowiedział na przywitanie. Nie zamieniono ani słowa.

Inspektor poszedł na lód. Nie było nienaści w jego sercu, ale niebyło i miłości. Przesadna obowiązkowość, to było wszystko co odczuwał, no i przyjemność rozkazywania innym.

Make podszedł do Mali.

„Chodź ze mną do izby", powiedział. „Teraz możesz odpocząć".

Gdy weszli do pokoju, Make dał Mali papierosa. Balk przyniósł keksy i inne słodkie pieczywo. Trzeci podał mu tytoń. Widział że ci ludzie również ulegali przymusowi, gdyż wiedział, że zabroniono mu w dzień palić. Tylko wieczór dostawał małą fajkę. Prosił o więcej ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. A że pytać musiał za pośrednictwem Joego, niechciał już o nic prosić. Papieros smakował i Mala

KURJER GOSPODARCZO-SPOŁECZNY

DEKAPITALIZACJA POLSKI

Jak złączyć koniec z końcem

(k.) W numerze wczorajszym podaliśmy pierwszą część referatu dr. Rogera Battaglji na temat sytuacji gospodarczej w świecie i w Polsce. W drugiej części zajął się referent **cieniami** na ekranie naszym gospodarczym i to **cieniami niepokojącemi.**

Cienie te rzuca nasz aktywny wprawdzie, ale **niewystarczający bilans płatniczy** (pokrycie kruszcowe zmniejszyło się o 25 milj. zł.), **pogłębienie się procesu deflacji** (spadek obiegu pieniądza i spadek kredytu), dalszy **proces niepokojącej dekapitalizacji. Przemysł węglowy** n. p. zaniechał wszelkich **inwestycyj,** to samo dzieje się w **Polskich Kolejach Państwowych,** które zaniechały zupełnie swój kilkuset milionowy **program renowacyjny,** nie uzupełniając zupełnie trupiejącego taboru. Ta sama sytuacja jest w **latach państwowych,** które ciągną dziś zyski li tylko z **przyśpieszonego wyrębywania** obszarów leśnych. Na horyzoncie zjawia się zapowiedź wielkich upadłości. Jednem słowem **dekapitalizacja.** Ciężka jest sytuacja. Wprawdzie zatrudnienie robotników jest większe, a **większym** jest również **stan bezrobocia.** Ze wsi, w związku z przyrostem ludności, przybywa do miast coraz więcej bezrobotnych (zamiast 40 na ha, żyje na wsi 80 ludzi). Na nasz **eksport** składamy poważne ofiary, które idą na **drogie nabywanie dewiz. Budżet państwa** pracuje nadal pod żaglem **deficytu** i trudno jest przewidzieć do jakiej wielkości się rozwinie. Staje przed nami przeto ponownie zagadnienie zrównoważenia tegoż. Dochód społeczny zmniejsza się z roku na rok (30 proc. ciągnie zeń państwo), a akcja oddłużeniowa jest nadal za szczupła.

Wchodzimy z nowym rokiem gospodarczym w gmatwaninę ciężkich zagadnień, które w dużej mierze ze względów strukturalnych nie dadzą się rozwiązać. Nie łudzimy się ograniczeniami funkcyj państwowych, dobrze będzie, gdy stępione zostanie częściowo ostrze **etatyzacji.**

Zdaniem dr. Battaglji, liczyć się należy, dla związania końca z końcem budżetu, z nowa pożyczką wewnętrzną na sumę 100 milj. zł. — a o pożyczce zewnętrznej, przy obecnej konstelacji polityczno - gospodarczej ani marzyć nie możemy. Pożyczki zagraniczne, o ile przyjdą, będą miały charakter tych, które zaciągnęliśmy na hamulce lub na węzeł warszawski.

Referent liczy jednak, na dobre traktaty handlowe (z Anglią) na reformę podatkową, nie liczy natomiast na dalsze oszczędności budżetu państwowego. Do ratowania sytuacji konieczna jest szybka reforma ubezpieczeń społecznych, zniżka taryf kolejowych, zniżka cen artykułów podstawowych (węgiel) i oddłużenie.

Referent zwrócił ponadto uwagę na **zamurowanie** poważnych sum należnych za nasz eksport do **Niemiec, Rumunji Łotwy.** Rewizja tych stosunków ze względu na stabilizację złotego, jest trudna.

Z referatu obsernego dr. Battaglji, jak już podkreśliliśmy, podaliśmy tylko główne myśli przewodnie. Referat nagrodzono szczeremi oklaskami. W dyskusji jako pierwszy zabrał głos dyr. Spitzer (Kraków), który poruszył szereg zagadnień, między innemi sprawę „ewakuacji" miast prowincjonalnych, sprawę znakowania wyrobów krajowych, wypowiadając się rzeczowo przeciw temu projektowi, sprawę oddłużenia, sprawę powodzi, nierealnych pretensyj podatkowych państwa, niezałatwianych od r. 1929 odwołań podatkowych i sprawę rozłożenia zobowiązań na raty. Po dyskusji zamknięto pierwszą część zjazdu.

Na posiedzeniu popołudniowem, na którem przewodniczył p. dyr. Buzek (Cieszyn) zajęto się przedewszystkiem zagadnieniem **terytorjalnych Związków Przemysłowych.**

Omówiono szczegółowo aktualny program działania terytorjalnych Związków Przemysłu, stanowiących na prowincji konieczny łącznik między przemysłem a władzami lokalnemi, tak państwowemi jak i samorządowemi, zaopatrujących te ostatnie władze doraźnie w potrzebne informacje, noszących tym władzom czynną i doraźną pomoc we wszelakich akcjach o charakterze publicznym. W dyskusji, jaka się w związku z tym punktem porządku dziennego wywiązała zabierali głos: dr. Dąbrowski, dr. Spitzer, dr. Rucker, dr. Buzek i dr. Łuczysek.

Zkolei omówiono sprawę statutu. Dużo czasu poświęcono interpretacji ustawy przemysłowej, która nawet dla ludzi z wykształceniem prawniczem jest zawiła a w zetknięciu z życiem jest bardziej nieżyciowa niż poprzednia.

Wobec spóźnionej pory odroczono dyskusję nad dalszemi punktami porządku dziennego i przeniesiono ją na dzień 28 bm. do Warszawy.

Stan plantacyj buraczanych w Polsce

Sprzyjające warunki atmosferyczne wpłynęły korzystnie na rozwój buraków, podnosząc wydatnie ich wagę (niekiedy o 12 proc. w stosunku do tygodnia poprzedniego), jak też zawartość cukru w burakach. Natomiast stan liści nadal przedstawia się gorzej; miejscami następuje już żółknięcie liści, a także chwościk zdaje się rozszerzać, chociaż w obecnem stadjum rozwoju buraków nie przedstawia on dla plantacyj zbyt wielkiego niebezpieczeństwa

Wkłady oszczędnościowe w P. K. O.

W miesiącu sierpniu wkłady oszczędnościowe, a także i liczba oszczędzających w P. K. O. wykazują dalszy poważny wzrost.

Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 6.530.768 zł., osiągając na dzień 31. VIII. 1934 r. stan 541.700.798 zł., łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnych wkładów markowych zł. 565.843.699.—

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu m-ca sierpnia P. K. O. wydała 33.739 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 31. VIII. 1934 ogólną liczbę 1.309.788 książeczek, łącznie zaś z książeczkami pochodzącemi z waloryzacji 1.340.275 książeczek.

Zaopatrzenia emerytalne w Polsce

Według ostatnich zestawień Głównego Urzędu Statystycznego na dzień 31 grudnia 1933 r., **zaopatrzenie emerytalne** ze skarbu państwa oraz z funduszów niektórych przedsiębiorstw państwowych pobierało ogółem 166.113 osób.

Liczba zaopatrzeń emerytalnych **osób cywilnych** (administracja) wynosiła 61.943, z tego z tytułu wysługi emerytalnej w państwie polskiem 49.204 (32.744 emerytów, 9.492 wdów po nich i 6.938 sierot), oraz z tytułu wysługi emerytalnej w państwach zaborczych 12.739 (3.496 emerytów, 8.237 wdów, 1.006 sierot). Na **kolejarzy i pocztowców** przypada 83.673 emerytur, w tem emeryci państwa polskiego łącznie z wdowami i sierotami — 69.482, oraz emeryci państw zaborczych — 14.191.

Emerytury wojskowe otrzymywało 16.117 osób, w tem z wojska polskiego 14.081 osób (11.003 emerytów, 1.893 wdów i 1.185 sierót), oraz z wojsk b. państw zaborczych 2.036 osób (643 emerytów, 1.214 wdów i 179 sierót). Uczestnicy powstań narodowych otrzymywali 191 emerytur, wdowy po nich 1.082. Liczba emerytur dla b. skazańców politycznych wynosiła 1.614, w tem 1.056 skazańców, 364 wdów, 164 sierót, oraz 30 osób rodziców. Zaopatrzenie wyjątkowe pobierało 1.393 osób.

Kroniki gminne

Związek gmin Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił, by wszystkie gminy wznowiły historyczną tradycję wprowadzenia własnych kronik w wiekach średnich. Kroniki te zawierać będą dane o wszystkich najważniejszych wydarzeniach, jakie zajdą na terenie gmin.

Minimalne zapasy alkoholu

Ministerstwo Skarbu wydało rozporządzenie ustalające minimalne zapasy jakie utrzymywać **muszą na składzie** sprzedawcy Państwowego Monopolu Spirytusowego. **Zakłady kawiarniane** z prowem sprzedaży alkoholów musza utrzymywać na składzie w zależności od kategorji, conajmniej od 5 do 12 litrów. Zakłady gastronomiczne, sprzedające spirytus w naczyniach zamkniętych, **muszą** mieć na składzie, w zależności od ich kategorji i liczby zatrudnionego personelu, od 10 do 50 litrów.

STEFAN WĘDROWNY

PIOSENKA LWOWSKA

2

Wreszcie wypada mi zaznaczyć, że w sympatycznej i dla życia umysłowego Lwowa tak charakterystycznej **kawiarni Schneidra** nie zawarłem ani jednej znajomości, któraby miała jakikolwiek wpływ na moje zamierzenia literacke. Z Wasylewskim poznaliśmy się w budzie studenckiej Alfreda **Ujejskiego.** Zapalił się do **piosenek przedmieścia lwowskiego** i zachęcał do napisania artykułu ludoznawczego w redagowanym przez **Kalinę** czasopiśmie. Później jednak zmienił plan i zaproponował mi wydanie książeczki, przeznaczonej dla szerszego ogółu. Byłem temu zrazu przeciwny, gdyż przedewszystkiem częste wzmianki o różnych urzędnikach policyjnych, wówczas jeszcze zajętych w czynnej służbie, zdawały się poważną przeszkodą. Prócz tego można było z góry przyjąć, że ludzie bez naukowo-literackiego nastawienia wyzyskają taką książkę do **gloryfikacji zbrodni,** albo też **do snobistycznych popisów.** Nadto utwory te, podane do wiadomości ludzi nieobeznanych z tłem, mogły nienależycie przygotowanych tylko zrazić swoją wulgarnością, co przyćmiłoby znowu zupełnie wszystkie zalety, dla jakich interesowaliśmy się niemi: junactwo, humor i rzewność. Ale gdy Wasylewski nie ustawał w naleganiach, zdecydowałem się na opublikowanie pewnej cząstki zebranych pieśni, napisanie przedmowy, która, szkicując ogólne i bardzo różnorodne tło pieśni przedmiejskiej, miała umożliwić szerszym kołom orjentację. Książeczka, wydana staraniem i naleganiami Wasylewskiego, drukiem Szyjkowskiego, robiła wrażenie bardzo dodatnie schludną szatą zewnętrzną. Zwróciła uwagę szerszych kół na odległe pola osobliwego rodzaju twórczości poetyckiej, a nadewszystko wykazała, że głos przedmieścia lwowskiego nie jest bynajmniej jakiemś niezgrabnem mamrotaniem ludzi nieokrzesanych, lecz **ma swój styl** i **specyficzne zacięcie.**

Książka wywołała sporo zaciekawienia, o czem świadczą oprócz feljetonu **Nostradumusa** - Tapera w lwowskiej „Gazecie Wieczornej" (29. V. 1911), artykuł Aleksandra **Nawrockiego** w „Wieku Nowym" (24. XII. 1910) **oraz** Witołda **Noskowskiego** z ilustracjami Marjana **Olszewskiego** w „Świecie" warszawskim (10. VI. 1911), i liczne inne drobniejsze wzmianki.

Ciekawe, że gdy w nowo podówczas urządzonem Kole Literackiem w Pasażu Mikolascha wystąpił w prywatnej imprezie kabaretowej dla zamkniętego koła członków Adam Zagórski z pewną ilością piosenek przedmiejskich, produkcje te nie podobały się. **Zapolska,** pisząc o tym wieczorze, zaznaczyła, że gdyby Zagórski w swoje produkcje potrafił wlać więcej humoru, mógłby liczyć na pewniejsze uznanie. Ale nie to było powodem niepowodzenia. Zagórski owego dnia odśpiewał swoim miłym barytonikiem ulubione piosenki, jak zawsze, z wielkim wdziękiem, a nawet humorem, który oczywiście malał w miarę wzmagającego się chłodu i milczenia słuchaczy. Dla publiczności było bowiem rzeczą wręcz niemożliwą przenieść się w okamgnieniu z wytworzonej przez siebie wytwornej atmosfery towarzyskiego zebrania na teren niesłychanie odległy bez przygotowawczego wprowadzenia, bez objaśniającego wstępu.

Wzięcie pieśni ludu miejskiego pod obserwację potwierdziło znakomicie przypuszczenie, że pieśń ludowa ulega **wpływom literackim,** że nie jest tworem bezwzględnej twórczej oryginalności. Przychwycono wędrówkę motywów in flagranti. Już w kilka tygodni po wystawieniu jakiejś melodyjnej operetki, po rozpowszechnieniu jakiejś charakterystycznej pieśni czy piosenki kabaretowej lub ogródkowej, pojawia się w danem mieście zaktualizowany i sparodiowany przez śpiewaków restauracyjnych tekst nowy, który dostawszy się między ludek szumowin, daje dopiero podstawę do zmontowania kompozycji trzeciego rzędu. Te wpływy idą na przekór przeciwnikom **wpływologji** bezustannie od inteligencji do ludu. Idą też z miasta na wieś i **szły** już bardzo dawno, przed wiekami nawet.

Dla Lwowa da się to dobrze zaobserwować. **Polonez** Ogińskiego, sparodjowany w gorszących słowach satyry — ponoś Lama — „Nie zaszkodzi twojej cnocie", tuła się po przedmieściu w skardze terminatora „Nie mam **spodni**"... Niemiecką polkę „Auf der grünen Wiese" rozpowszechnia przekład „Na zielonej łące", ale dopiero zamordowanie przedsiębiorcy pogrzebowego Opuchlaka przez Kobrynową daje powód do powstania iście lwowskiego szlagiera ludowego na tę samą nutę: „Pani Kobrynowa, Dobrze zrobiła. Że Opuchlakowi Głowe rozbiła". Rosyjska **„Trojka"** objeżdża zrazu kabarety w polskiej szacie, dopiero straszna śmierć aktorki Ogińskiej wywołuje pieśń uliczną pod adresem mordercy „Widzisz Lewicki, co miłość może".

Władysław **Barącz,** w latach osiemdziesiątych dyrektor sceny skarbkowskiej opowiadał, jak ściągnięty przez niego z zagranicy do kraju śpiewak Mieczysław Kamiński, syn Jana Nepomucyna, podczas nocnej wyprawy w Żółkiewskie Przedmieście zastał tam w podrzędnym szynku scenę bardzo osobliwą. Na ławie stał jeden z chórzystów lwowskiej opery i wyśpiewywał przy akompanjamencie gitary przed słuchaczami, mocno wzruszonymi, znane arie operowe, któremi oczarowywali **Mierzwiński** albo **Reszke** w niedostępnych dla tragarzy, woźniców i włóczęgów apartamentach. Nad śpiewakiem wisiał na ścianie karton z napisem „Piwo Okocimskie", więc Kamiński na widok tej sceny zawołał: **Lirnik okocimski!** Przezwiska tego artysta nocy i dalekiego przedmieścia już się nigdy nie pozbył.

Około roku 1910 stwierdziłem rozpowszechnienie się we Lwowie pewnej pieśni, którą uważałem za oryginalny wytwór tutejszego więzienia. Jakież było moje zdziwienie, gdym tę samą melodję usłyszał w zagranicznym automacie muzycznym. Zagadkę odcyfrowałem dopiero, gdym zaszedł na przedstawienie starego wodewilu **„Robert i Bertram,** czyli dwaj złodzieje" i usłyszał jak tę samą pieśń śpiewa jeden z aktorów, odtwarzających tytułową rolę. Habent et canti sua fata.

C. d. n.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Z nadchodzącą jesienią znikają żywe, wesołe kolory, ustępując miejsca barwom przyćmionym, łagodniejszym.

Najwięcej widzi się obecnie kolory bronzowe, stalowe, szare i zielone w rozmaitych odcieniach.

Ostatnio zaś lansuje Paryż żywy fjolet oraz blady ametyst. Zwłaszcza ten ostatni cieszy się dużem powodzeniem, nadaje się bowiem równie dobrze do każdej cery i każdego koloru włosów.

— Moda śmiałych kontrastów utrzymuje się nadal, a to zarówno w kolorach jak i w materjałach. A więc czarne z czerwienią lub srebrem, ciemno-zielone z popielatym, czerwone z jasnoszafirowym, granatowe z błękitnym.

— Nieodzownem uzupełnieniem każdej sukni są paski, które przy sukniach wieczorowych dochodzą niekiedy do 10—12 ctm. wysokości. Sporządzone albo z tego samego materjału co suknia, albo z miękkiej skórki, albo wreszcie z metalu.

— Jak już wspomnieliśmy, dużo guzików, o fantastycznych, nieraz artystycznych kształtach, z metalu, kryształu, drzewa, skóry itd.

— Przy sukniach płaszczowych, z lewej strony piersi artystycznie wykonany okrągły monogram srebrny.

— Do kostjumów tailleur i płaszczy przybrania futrzane, plastrony, rewersy, manszety. Przedewszystkiem baranki krymskie czarne lub popielate, breitschwance, wydry.

Popołudniu i wieczorem królują da'ej niepodzielnie lisy: czarne, białe, niebieskie; długie boa, owinięte fantazyjnie dokoła szyi i talji.

— We fryzurach zupełna niemal swoboda i niesłychana rozmaitość. Fryzura musi harmonizować ze suknią i jej stylem, który — jak wiadomo — nierzadko wzoruje się na modzie z przed... 30 lat. Loki i loczki, wijące się figlarnie po bokach głowy, to znów zgrupowane na szczycie czaszki, to wreszcie przesunięte na tył głowy, przy czole zupełnie odsłoniętem. Przy strojnych toaletach — djadem we włosach.

— Fryzjerzy londyńscy wprowadzili nowe uczesanie głowy „a la księżniczka Marina", na cześć narzeczonej księcia Jerzego. Włosy ondulowane po bokach zasłaniają zupełnie uszy i opadają łagodnie na skronie. Fryzura bardzo miła i ładna.

— W kroju płaszczów niewielkie, ale istotne zmiany. Płaszcze albo z zupełnie niskim kołnierzem, albo bez kołnierza. Rękawy kimonowe lub raglanowe, często poszerzone w okolicy łokcia tak znacznie, że wyglądem swym przypominają niemal pelerynkę. Szerokie, puszyste kołnierze futrzane opadają dość nisko na plecy. Płaszcze przeważnie 3/4 długości, dość obcisłe, z kilkoma dużemi guzikami, stanowiącemi jedyną ozdobę.



Kostjum sportowy z jasno-szarej wełny; bluzka niebieska w białe kropki; kapelusz jasno-szary.

Zimowe zapasy

Nadchodzi zima — okres gromadzenia zapasów. Są niemi: owoce i jarzyny świeże; owoce i jarzyny suszone; przetwory owocowe i jarzynowe.

W mieście tylko domy o licznych domownikach powinny uprawiać politykę robienia większych zapasów jarzynowych. Zresztą i to jest ściśle uzależnione od posiadania odpowiedniej piwnicy, o którą w mieście trudno. Natomiast owoce zimowe powinny znajdować się w każdym domu, bo kupowanie ich w zaawansowanym sezonie jest dobrowolnem przeciążaniem budżetu ponad miarę, a niekupowanie (z powodu tych właśnie budżetowych trudności) wpływa ujemnie na całokształt racjonalnego odżywiania.

Nie wystarczy jednak zapewnić sobie owoce i jarzyny wyborowe, trzeba je jeszcze mieć gdzie i jak pomieścić.

W tym celu musimy zawczasu wyprzątnąć i przygotować piwnicę, spiżarnie ewentualnie paki, czy kosze do przechowania owoców.

Piwnica i spiżarnia musi być wcześnią jesienią wyprzątnięta, wybielona, wysiarkowana i należycie wywietrzona. Półki wyszorowane i wysuszone, podłoga, jeżeli jest ziemna, czysto wymieciona i wysypana piaskiem; podłogi drewniane wyszorowane.

Jedynie odpowiednią jest piwnica w miarę sucha, doskonale zabezpieczona od mrozu, zacieniona (osłonięte okna), z oknami w stanie pozwalającym na wietrzenie.

Temperatura w piwnicy powinna się wahać pomiędzy +3, a +6 st. C. W żadnym razie nie może spadać poniżej +1 st. C., ani podnosić ponad +7 st. C. W braku odpowiedniej piwnicy przechowujemy owoce w skrzyniach lub koszach ustawionych w chłodnej spiżarni, albo w nieopalonym pokoju.

Przechowując je w ten sposób, używamy do przesypywania bezwonnych trocin drzewnych (nie mogą to być trociny pochodzące z drzew iglastych); torfu miałkiego i owsianego; sproszkowanego węgla drzewnego, albo też wymytego i wyprażonego, ale nie nadmiernie wysuszonego piasku.

Na dno skrzyni, czy kosza, beczki, a nawet dużego garnka kamiennego albo glinianego sypiemy warstwę jednego z wyżej wymienionych środków konserwacyjnych, na tej warstwie układamy owoce tak, aby jedne do drugich nie przylegały: Układamy jedną warstwę, przykrywamy znów trocinami, torfem, węglem lub piaskiem pokrywając z wierzchu grubą warstwą środka konserwacyjnego.

Gruszki należy owinąć w bibułkę, jabłka wytrzeć kawałkiem flaneli i nie owijać.

Wybierając owoce do zużycia, trzeba za każdym razem zdjąć całą jedną warstwę, pozostawiając następną nietkniętą. Z chwilą gdy do owoców dojdzie powietrze nie możemy już liczyć na ich dłuższą odporność.

Należy zaznaczyć, że miał torfowy przeznaczony do izolowania owoców od wpływu powietrza i światła musi być wysuszony i osiany, a używając trocin, trzeba zwrócić baczną uwagę, aby nie były wilgotne.

Przechowując owoce w piwnicy pamiętajmy o przeglądnięciu ich w niewielkich odstępach czasu i usuwaniu nadpsutych, które zakażają owoce zdrowe, powodując tem samem poważne straty w zapasach.

Piwnice przeznaczone na składy warzyw powinny mieć temperaturę wahającą się pomiędzy +3 a +5 st. C, muszą być poza tem suche i łatwe do przewietrzenia.

Przed zgromadzeniem warzyw w piwnicy, należy je odpowiednio do przezimowania przygotować, a zatem: przebrać jaknajstaranniej usuwając wszystkie uszkodzone, lub nadpsute sztuki; oczyścić ze zbytecznych, lub nadpsutych liści; nać warzyw korzeniowych obciąć przy koronie, a nawet z koroną (u buraków): selerom pozostawić kilka listków sercowych.

Dla zaoszczędzenia miejsca formujemy z warzyw korzeniowych stożkowate kopczyki, przesypując każdą ułożoną warstwę piaskiem. Brukiew, buraki i kalarepę można zsypać wprost na stosy w rogach piwnicy.

W razie gdyby warzywa korzeniowe przechowywane w piasku więdły, należy piasek lekko zwilżyć wodą.

Nieodzownym zabiegiem jest przeglądanie zapasów i usuwanie warzyw nadpsutych.

Cebuli i szalotki nie można przechowywać w piwnicy. Najodpowiedniejszą dla nich przechowalnią będą: strych, albo chłodnie, przewiewne, ale zabezpieczone od mrozu komórki, w których zsypujemy je na stosy.

Chcąc mieć stale świeżą, młodą natkę od pietruszki trzeba sadzić korzonki pietruszki naciowej, na jesieni, w doniczki, albo skrzyneczki drewniane wypełnione ziemią, wymieszaną pół na pół z piaskiem. Ustawić je w ciepie, blisko okna.

„Petite robe"

Dajemy dziś wzór tak modnej i praktycznej sukienki, noszącej trafną nazwę „petite robe".

Potrzeba na nią 2.80 mtr. materjału, szerokości 1 metra.

Na spódniczkę odcinamy dwa kawałki wysokości 80 ctm. przy 90 ctm. szerokości. Z przodu dwie zakładki na 9 ctm., zaszyte od pasa na długość 52 ctm.

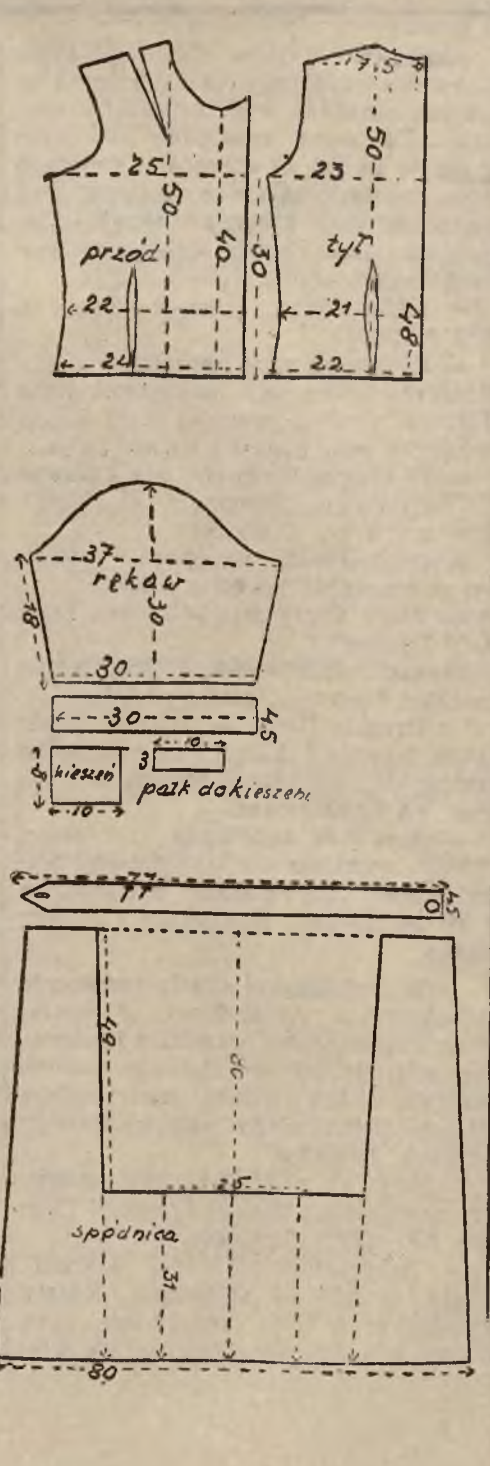
Bluzka: dwa odcinki 50 cm. wysokości przy 45 ctm. szerokości Na plecach zaznaczyć dokładnie środek przez całą wysokość. Dwie wszytki, wysokości 20 ctm.

Z przodu wyciąć u góry na 10 ctm., na ramionach wszytki. Dwie kieszonki w odległości 20 ctm. od brzegu bluzki.

Rękaw obcisły, krótki. Rewersy na 5 ctm.

Odpowiedni pasek zapinany na guziczek.





Co nosi Paryżanka...

...rano jasny kostjum sportowy, do tego płaszcz trzy czwarte długości, zapinany z przodu na duże guziki i przepasany paskiem.

...mały filcowy kapelusik, podgięty z tyłu, z rondem opadającem na oko

...wełniany lub jedwabny szalik, w żywych kolorach

...popołudniu krótką tunikę naszywaną pailetkami, bez rękawów, nałożoną na wełnianą suknię

..na spacer elegancki obcisły kostjum: spodnica wąska, rozcięta z boku żakiecik wcięty, zapięty w pasie na 3 guziki

...wieczorem aksamitną obcisłą suknię sięgającą aż do kostek

...paski z lakierowanej skórki, czarne lakierowane pantofelki, zapinane na dwa paski.

...do teatru „cape" lub długą pelerynę.

Co będziemy nosić w jesieni?

Na szlafroczki: przepiękne „eponge" gładkie i w desenie oraz jedwabne barchany, strojne, a ciepłe.

Na pyjamy: flanelki wełniane w pasy.

Na suknie i kostjumy: wełny siatkowe, koronkowe, panama, boucle.

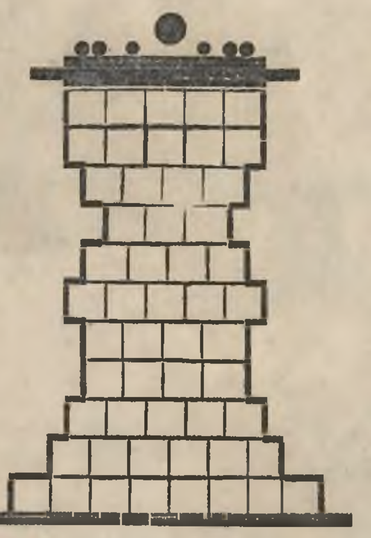
Na płaszcze: kamgarny, meltony, zamsze, welury.

Przepiękne, najnowsze wzory tych materjałów mieliśmy sposobność oglądać niedawno w magazynie M. Zaleskiego przy placu Halickim.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Logogryf

(ułożyła St. Krzy-cka)



W kratki wpisać proszę **jedenaście** słów, i jakie? — to drobiazg dla przemyślnych głów znaczenie ich właśnie poniżej wyjaśnię:

Gdy sroga ulewa rzeki **pierwszy** wywoła,
choć minie — **wspak drugie** zostaje dokoła.
Zaś **trzecie** dziecięciu niania słodko nuci,
gdy **czwarta** swój czarny welon na świat rzuci.
Po włosku zaś **piąte** znaczą: „wszystek",
„wszelki"
(odgadnąć, przyznacie, trud wcale nie wielki).
Znów **szóste** u ręki i nogi znajdziecie
(czyż może prostszego coś istnieć na świecie?)
Siódme? ..ej, ostrożnie! ognisty to trunek!
a kto go zbyt **ósme** łykać na frasunek,
(że to niby jakiś „**dziewiąte**" mu dojada)
smutno kiedyś skończy! Po trzykroć mu biada!
Co prawda, ten **dziewięć**, — uprzykrzona sztuka
i próżno niejeden lekarstwa nań szuka:
na początku lata masowo się rodzi
(— od niego to miesiąc swą nazwę wywodzi). —
A szkodnik! Żre wszystko: liść, kwiaty, owoce,
że rady nie mogą dać mu żadne moce!
Więc nie dziw, że **dziesięć** (tak zowie się donna...)
jego **jedenaście** — choć czuła, — jest skłonna.
A teraz **pierwsze**, potem **końcowe**
głoski kolejno zestaw w rzędy dwa
i Twe zadanie już jest gotowe —
wiesz teraz wszystko.., więc cicho, sza'..

* * *

Szarada

(ułożył „John Ly")

Drugi - pierwszy nie wraca,
a mama **Trzecia - czwarty**
pasjansikiem czas skraca.
Lecz źle coś idzie karta.
Nudzą się także dzieci,
same nie wiedzą, czego
Malutkiej **Trzeciej - trzeciej**
chce się **pi..ś i drugiego**.
A **Pierwszej - trzeciej** na myśl
przyszło spytać: „Gdzie tato?"
Drgnęły powieki mamy,
co odpowiedzieć na to.
Bo wie pewnie,, że poszedł
na **piąty** — na wyścigi,
gdzie **cały** wszystkie grosze
weźmie mu bez fatygi..

* * *

Zadanie klockowe

(ułożył Kazimierz D., Drohobycz)



W każdym z trzech rzędów przeciągnąć po dwie linje pionowo i odczytać słowo, bardzo aktualne w Polsce i poza jej granicami!

Łamigłówka

(ułożyła Fr. G. Lwów)

Diwa, Andy, taca, ster, wada, **pika**, **rana**, kasa, chan, smar, kran, **dren(teza stan** Lena, targi

Do każdego z powyższych wyrazów należy dodać po trzy litery tak, by powstały nowe słowa o następującem znaczeniu:

1) Motłoch, 2) ciasteczka, 3) rumak, 4) spis, 5) imię żeńskie, 6) zaprzęg, 7) rodzaj pojazdu, 8) małe naczynie, 9) wiejski lekarz, 10) „kłopot", 11) „odpust, 12) „rząd", 13 szpital polowy, 14) garderoba, 15) pastorałka, 16) krokodyl

Początkowe litery tych nowych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Rozrywki dla młodzieży

Dziesięć woreczków



Do cesarza Justyniana przyszedł pewien dworak, prosząc o zapomogę w kwocie tysiąc talentów.

Cesarz kazał mu się zgłosić na drugi dzień, — a kiedy przyszedł, pokazał mu ustawione na stole rzędem dziesięć woreczków, napełnionych pieniędzmi.

— Widzisz te woreczki? — rzekł cesarz. — W każdym z nich jest pewna ilość monet, ale w każdym inna, rosnąc od najmniejszego do największego w pewnym stałym stosunku Razem jest w nich tysiąc talentów. Jeśli w ciągu 3 minut zgadniesz, ile monet jest w każdym woreczku, — pieniądze są twoje.

Przypuszczamy, że nasi **czytelnicy** również w ciągu 3 minut dokazaliby tej sztuki?..

Układanka sylabowa

(ułożył „Tom")

9, 6, 4 — 12, 10, 1 — 3, 12, 14, 5, 6, 4, 8, 14 — 2, 11 — 13, 11, 1, 6, 4 — 9, 6, 4, — 8, 6, 7, 11

Wyrazy pomocnicze:
12, 10, 5 = stary instrument muzyczny
8, 14, 7 = zwierzę domowe
11, 9, 6 = zaimek

Rozwiązania z dopiskiem „Dział rozrozrywkowy" należy nadsyłać do Redakcji najdalej **do środy 26. września br.**

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań jako nagroda — interesująca powieść do rozlosowania.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 241

Wirolog: I.) Nipon Apisy, Rower, Tokaj, Odcis(k), Eposy, Wisła, Marne

II.) Inn, asy, wor, kot, sod, osy, wał, Ren = Popierajcie pisma narodowe!

Romanza rycerska: Miłość ufna i wierząca

Szaradki: Minister, Materja, Kulisy, Ulica.

Przestawianka: Lekarstwo, parasolnik, pugilaresik, saltomortale, pszczelarstwo, wolnomularstwo.

Logogryf: Hotel, siano, Irena, etola, nowela, kieliszek, igła, Ezaw, walka, idylla, czara zew — H Sienkiewicz.

Kłopotliwe pytanie: Papieros upadł na szyny już po wyminięciu semafora, uniesiony prądem powietrza wytworzonym przez pędzący pociąg.

Bilet wizytowy: Wiat od morza.

ROZWIĄZANIA NADESŁALI

ze Lwowa pp. Józ. Koberwein, „Żetel", J. Kwiczoł, „Arja", Br Ostrowski, Mich. Haichowa, M. Szydłowska, „Irka", Hel. Kowalska, St. Krzywobłocka, Roman H., Wład G., Eug. Dworski, M. Angielczykowska, Fr. Goldowa, „Ceś", Sigma, inż. J. W., M Ruxerówna, „As", Ir.wu, Mich. Łesiuk, A. Kieszkowska.

Z poza Lwowa pp. Hel. Mokrzycka (Drohobycz), M. Lityńska (Przemyśl), Cz. Murczyński (Kraków), I. Wilkowa (Rzeszów), M. Dworska (Truskawiec), ks. J M. (Tarnów) Tad. Dworski (Sanok), „Olga" (Jarosław), M. Potocka (Sanoczek), M Alexandrowicz (Delatyn), I. Kański (Kraków), Irena Senze (Żychlin).

Rozrywki dla młodzieży pp. „Tom", Rzeszów, Janka Rapałówna. Stef. Lachowicz, „Władeczka", Julja W

Nagrodę uzyskał **p. Tadeusz Dworski w Sanoku.** Książkę wysyłamy.

Nagrodę dla młodzieży przyznajemy p. **Stefanowi Lachowiczowi we Lwowie.** Prosimy o zgłoszenie się w naszym Kantorze

Z za kulis filmu

Marion Davis opiekunką dzieci

Rzadki to wypadek, by gwiazda filmowa wydawała pieniądze nie na jakieś ekscentryczne zachcianki, na stroje lub reklamę, — lecz na szlachetne cele, nie szukając przytem rozgłosu dla siebie.

Takim wyjątkiem jest urocza Marion Davis, gwiazda wytwórni M. G. M. Pragnąc przyjść z pomocą dzieciom biednym, potrzebującym opieki i kuracji, wystawiła własnym kosztem w Sawtalle (Kalifornja) szpitalik, w którym w ciągu roku może leczyć się sześć tysięcy dzieci. Szpital zbudowany według pomysłu Marion Davis, posiad wszystkie najnowsze urządzenia i cały personal lekarski.

W wolnych chwilach Marion wpada często do szpitala, gdzie, przebrana w strój pielęgniarki, obchodzi wszystkie sale i rozmawia z dzieciakami. Szpital ma byt zapewniony. Mraion bowiem zdeponowała w banku odpowiednią sumę, od której procenty pyna na koszty administracji.

Himalaje we filmie

Międzynarodowa ekspedycja w Himalaje, pod kierownictwem Szwajcara, prof. G. Dyhrenfurtha, dokonała całego szeregu zdjęć filmowych na wysokości 7000 metrów. Jest to pierwszy wypadek, iż w ekspedycji czysto naukowej brali udział również i artyści filmowi, wytrawni alpiniści, i że zdołali porobić zdjęcia na takiej wysokości. Idzie tu bowiem nietylko o zdjęcia naukowe i sportowe, ale i o cały „dramat" filmowy, nakręcony według scenarjusza, w tem niezwykłem otoczeniu.

Powrót całej ekspedycji do Europy spodziewany jest w pierwszej połowie października b. r.

Nieznany mistrz Hollywoodu

Nazwisko G. W. Westmore'a nieznane jest nikomu, poza szczupłą garstką artystów filmowych. A przecież jest to jeden z najbardziej czynnych pracowników wytwórni Metro - Goldwyn-Mayer, prawdziwy artysta w swoim fachu, wysoko ceniony i doskonale płatny.

G. W. Westmore jest mistrzem od „makilażu", „robienia" twarzy i tysięcy pomysłowych „tricków". Z jego pracowni wychodzą autentyczni czerwonoskórzy, klasyczne postacie starożytnych Rzymian, kobiety - pantery...

On jest sprawcą filmowych ran, potłuczeń, okaleczeń i łez glicerynowych.

We filmie „Wąż Mamba" bohater, ukąszony przez jadowitego węża, jest bliskim śmierci. Ma być poddany operacji; z opuchniętej nogi tryska krew pod lancetem chirurga.

Westmore bierze się do pracy: Miejsce „ukąszone" pokrywa grubą warstwą wosku odpowiednio zabarwionego. Noga wygląda strasznie, opuchnięta, sina...

W miękim jeszcze wosku robi małe wydrążenie, do którego wlewa trochę gliceryny zabarwionej karminem. Otwór zakleja cienką blaszką miki. Na to trochę pudru i „rana" gotowa. A kiedy do „konającego" artysty przychodzi doktór i zagłębia lancet w ranie, — wytryska z niej krew „prawdziwa"...

Najwięcej kłopotów miał Westmore z filmem „Wyspa doktora Moreau", gdzie trzeba było ucharakteryzować artystów na różne potwory w guście „człowieka - lwa", „człowieka - konia" lub „kobiety - pantery". Tę ostatnią rolę odegrała jak wiadomo Kathleen Burke, wybrana z pośród 60 tysięcy kandydatek.

Ameryka. Marlena Dietrich, którą zapewne niezadługo już ujrzymy i na naszych ekranach w jej ostatniej kreacji jako „Czerwona cesarzowa", — przygotowuje się już do nakręcania świeżego filmu. Będzie to „Caprice espagnol" wed ług scenarjusza znanego ameryk. pisarza Johna Don Passos. Reżyseruje znowu Józef Sternberg.

— Eddie Cantor nakręca nowy film „Kid Millions".

— Ramon Novarro przystąpi w najbliższym czasie do nakręcania filmu „Tiptoes" według powieści Vicki Baum. Partnerką jego będzie Ewelina Laye.

— W drugim filmie również z powieści Vicki Baum, „Romans w Moskwie", główną rolę gra Anna Sten.

Anglja. Nakręca się obecnie „Magazyn starożytności" według Dickensa.

— Mary Glory jest bohaterką filmu „Król Paryża".

Niemcy. „Ufa" nakręca trzy monumentalne filmy: „Tajemnica Woroncewa" z Brygidą Helm, — następnie przepiękną legendę chińską „Turandot" z Kate de Nagy, oraz „Poślubiłem moją żonę" z Lily Dagower.

— A. A. F. A. zapowiada na sezon 1934/35 dwanaście wielkich filmów, między innemi „La Paloma" z I tenorem opery berlińskiej, Kullmanem i ze Slezakiem.

— W najbliższym czasie rozpocznie się nakręcanie Arystofanesa „Liżystraty" w odpowiedniej przeróbce filmowej. Pewne trudności przedstawia strona tekstowa, gdyż cenzura amerykańska żąda skreślenia całego szeregu zbyt pikantnych djalogów.

— Mówi się w Hollywood o ponownem nakręceniu „Boskiej Komedji" Dantego jako filmu dźwiękowego.

— Nakręcanie „Wesołej wdówki" Lehara zostało już ukończone. Koszty produkcji tego filmu przekraczają 1½ miljona dolarów. Główne role, jak wiadomo kreują Jeanette Macdonald i M. Chevalier.

Jak powstaje film?

Praktyka, stosowana od wielu lat, ustaliła, że szerokie rzesze miłośników kina, zapoznają się z filmem dopiero wtedy, gdy wkracza on na ekran, słowem — otrzymują gotowy produkt. Z tym szablonem zrywa Eugenjusz Bodo, właściciel wytwórni filmowej „Urania-Film", który postanowił pokazać cały proces ewolucyjnego powstawania filmu. Swój nowy film p. t. „Czarna perła" zaczyna realizować na oczach miljona ciekawych.

Technicznie nie jest możliwe, by wszyscy zabierali głos w obradach nad scenarjuszem, obsadą aktorów, reżyserją, techniką i tysiącem innych spraw, które na całość filmu się składają, ale natomiast wykonalny jest zamiar skrupulatnego informowania o poszczególnych etapach realizacji, zdawanie sprawy Czytelnikowi z rzeczy dokonanych i które sa w toku akcji. Temu właśnie celowi ma służyć cykl autentycznych reportaży, który niniejszym feljetonem rozpoczynamy.

W rozmowach z Reri zwrócił Bodo szczególną uwagę na przesądy Tahitańczyków i porwał go sam temat. Niesłychanie ciekawe wierzenia, zabobony, przesądy, wielkie zagadnienie i wielka tajemnica, którem dla europejczyka jest słowo **Tabu...** I tyle miłości.., I tyle poświęcenia!...

Zaczęła się praca nad scenarjuszem. Po ustaleniu tematu, charakteru filmu, który ma być wybitnie romantyczny, sensacyjny z domieszką erotyki i którego akcja będzie się toczyła w Polsce i częściowo na Tahiti, ze scenarjuszem nie było już wiele kłopotu. W **„Czarnej perle" role czołowe odtworzą** Eugenjusz Bodo i **Reri. Ich film zapowiada** się jako pierwszorzędna **sensacja filmowa**